

W numerze: Ruch związkowy w obliczu problemów współczesności • Malpi-
gaj • Pamiątka po bohaterze • Refleksje bez szminki • Zabójca • Wiersze •
Recenzje • Felietony • Polonica

odątkosy



Nr 47 (357)
28. XI. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK

ROK VIII



KRZYSZTOF POGORZELEC

Jugosławia 1965

Wśród partyzantów i menażerów

Ramiona na barkach, monotonna, lecz śla-
le przyspieszająca melodia. Wiruje KOŁO.
Kągi taneczne obraca się coraz prędzej.
Kobiety trzymają się z dala. To taniec
mężczyzn, niegdyś — taniec wojowników...
Albo inny obrazek tym razem z Rijeki: u
krawężnika rząd „fici” — „Zastav 750”,
skuterów. Duża kawiarnia, kilkadziesiąt sto-
lików. Przy nich wyłącznie mężczyźni. Wej-
ście samotnej kobiety budzi pewne zdzi-
wienie, głowy obracają się w stronę „in-
truza”. Obyczaj Południa z tureckimi na-
leciałościami. A potem — wypiją swoje
campari, odłożą „BORBE” na kiju i pojdą
do swoich domów: z lodówkami, łazienką,
telewizorem. To Jugosławia 1965.

SPRĘŻYNY RYNKU

Takie obrazki nie zaskakują przybysza z
Polski. Nie dziwi go nawet chusteczka do
nosa na głowie kobiety wchodzącej do świą-
tyni. Po prostu — tak każe obyczaj, to
część tutejszego folkloru tak samo jak męz-
czyzna jadący na mule, a za nim idąca i
obciążona dzieckiem i jeszcze jakimś pa-
kunkiem kobieta-zona. To znówu Macedo-
nia. Nie dziwią nawet nieruchome maszy-
ny rozrzucone po hali nowoczesnej fabryki
gdzieś w autonomicznym okręgu Kosowo-
Metohija, maszyny, które zostały „porzu-
cone” przez robotników. Obsługa zarobiła
ileś tam tysięcy dinarów i uznała, że na
jakis czas to wystarczy dla niezłego życia
pod rozświetlonym tutaj przez 8 mie-
sięcy niebem. Pierwsze pokolenie robotników
nie zna jeszcze dyscypliny jaką narzuca
wielki przemysł.

Przybysza z Polski zastanawia i szokuje
wystawność belgradzkich, i nie tylko sto-
ecznych, sklepowych witryn. Mnogość ele-
ganckich i luksusowych wyrobów skórza-
nych i włókienniczych, „zasobniki” skle-
pów pełne wyrobów z elastilu, helanco w
metrach i na sztuki, mnogość obuwia, arty-
kułów spożywczych poczynając od tutejszego
przysmaku — salami.

To zaskakuje, tym bardziej jeżeli się wie,
że Jugosławia jeszcze nie tak znowu daw-
no odnotowywana była w statystykach na-
wet wśród krajów bałkańskich jako jeden
z najbardziej zacofanych krajów, którego
ekonomika oparta była przede wszystkim
na prymitywnym dosyć rolnictwie. Przypom-
nijmy tutaj, że drewniana socha w ręku
jugosłowiańskiego rolnika nie była znowu
takim wielkim ewenementem jeszcze w
pierwszych latach po wojnie. A jednak
również i to jest prawda, że zdolano wy-
ciągnąć kraj z tego ekonomicznego i spo-
łecznego zacofania będącego wynikiem rza-
dów Pawłów, Aleksandrów i Piłtrow. To
co obecnie jest, daleko odbiega od stanu i
lat, w których 80 proc. ludności żyło na
wsi, 8 proc. stanowili ludzie zatrudnieni w
przemysle, a ponad 50 proc. mieszkańców
sześciu obecnych federacyjnych republik —
Serbii, Słowenii, Macedonii, Bośni i Herce-
gowiny, Chorwacji nie potrafiło czytać, ani
pisać.

To co jest dzisiejszą Jugosławia, to wlas-
na produkcja samochodów, statków, stali
i sięgnięcie po własną ropę, przede wszyst-
kim — przewyższenie stalinowskiej blo-
kadą narzuconej Lidze Komunistów Jugo-
sławii w pamiętnym roku 1948. Nie tylko
w Związku Komunistów Informacji
w Belgradzie, ale na każdym kroku — w
sklepach Skopje, Zagrzebia i Lublany znaj-
dziesz potwierdzenie owego 75-procentowe-
go wzrostu produkcji przemysłowej, który
został uzyskany tylko w ciągu minionych
5 lat. Zaczęło rolnictwo podniósł nie tyl-
ko swój poziom techniczny, ale przede
wszystkim dostarcza o 50 proc. więcej zie-

JAN BĄBIŃSKI

HELIKOPTER dla ŁODZI

Nad dawną Etrurią unosił się he-
likopter. W wolno posuwającej się
maszynie pracował team. Archeo-
log i operator filmowy. Ci dwaj,
czujni do ostatnich granic ludzkie,
wypatrywali z wysokości śladów ży-
cia tajemniczych Etrusków. Jakieś
ledwo dostrzegalne kopce, jakaś
ledwo uchwytna zmiana w kolorze
trawy, jakieś wgłębienie — wszystko
to mogło naprowadzić na ślad daw-

nych grobów etruskich. Penetrowa-
nie ziemi z lotu ptaka przyniosło
już nieoczekiwane rezultaty. Wiedza
o Etruskach wzbogaca się ostatnio
z każdym prawie dniem. Co jest u-
kryte przed ludzkim okiem, nie uj-
dzie helikopterowi.

Proponuję, by helikopterem posłużyli się
również łódzcy archeolodzy.

Z wysokości odsoni się im widok, jakie-
go długo nie zapomną.

Ujrzą dalekie, peryferyjne przedmieścia
Łodzi w ich całej niekрасie. Zobaczą prze-
dziwne budy, które udają domy mieszkalne.
Zobaczą sznury karzelkowatych zabudowań
— ni to szopy ni to chałupy — o wynatu-
rzonych kształtach, pozbawionych symetrii
i harmonii. Tam puste pole, tu płoty i szta-
chety, rude piaski, i te rachityczne, wszech-
obecne rudery. Smutny to krajobraz z lotu
ptaka. Najgorsze, że szpetoty, która się
wdarła na przedpole Łodzi usunąć już się
nie da.

Przynajmniej nie da się niczego naprawić,
co już zostało sknoczone.

Można jednak powstrzymać napór owych
bunkro-domostw o płaskich dachach i for-
tecznych ścianach. I dwóch oknach od przodu.
Można położyć tamie niechlujstwo i tan-
decie. Dlatego proponuję helikopter. Z niego
łatwo dojrzeć się miejsca, gdzie już ruszono
ziemię, gdzie kopie się studnie, gdzie sięga

się po piasek i fabrykuje makabryczne pu-
staki o trupim, sinym kolorze. To najczę-
ściej groźne, co istotnie, ostrzegawcze
sygnały.

Uwaga, na planie dzikie budownictwo!
Jak doszło do tego, że nim się ktokolwiek
obejrzał, miasto zostało otoczone pierście-
niem szpetoty?

Pewną rolę odegrały chyba również
względy psychologiczne.

Wytrawny kieszonkowiec stosuje manewr.
Upatrzoną ofiarę uderza w tłoku lewą ręką
w lewą kieszeń. Ofiara szybko się odwraca.
Wówczas kieszonkowiec ruchem jeszcze
szybszym i nie pozbawionym wdzięku ładuje
prawą dłoń w prawą kieszeń jegomościa.
Chwyt prosty, znany już bodajże starożyt-
nym Etruskom. Służyl odwroceniu uwagi.
Kieszonkowcy z Chicago stosują bardziej
nowoczesny wariant. Podsuwają ofierze
piękną girl. Dziewczyna napiera całym
pełnym ciałem na dżentelmena w prze-
pełnionej windzie. Dżentelmen jest zasko-
czony, także młde polechtany. A kieszonko-
wiec robi w jednej sekundzie, co do niego
należy. Thank you, sir...

Czyżbyśmy się dali nabrać na ten trick?
Kurak, Zubardz Włada Bytomska, Da-
browa... doprawdy to osiedla, które radują
serca każdego łodzianina. Zapisują ważną
kartę w dziejach miasta. Są początkiem

Dalszy ciąg na str. 4

Dalszy ciąg na str. 4



Pięciodniowa wizyta polskiej delegacji partyjno-rządowej w Jugosławii znalazła się w centrum zainteresowania. Jest to uzasadnione przede wszystkim aktywnością, jaką oba nasze kraje wykazują na arenie międzynarodowej.

I chociaż problematyka zagraniczna była tylko jednym z tematów rozmów — obok stosunków bilateralnych, stale rozszerzających się, co m. in. znajduje wyraz w zapowiedzi zawarcia porozumienia o długofalowej wymianie handlowej (do r. 1970) oraz obok rozwoju sytuacji w międzynarodowym ruchu robotniczym — to przecież komentatorzy zagraniczni na nią właśnie zwrócili uwagę.

Na liście omawianych problemów — rzecz jasna — znalazły się: Wietnam i Niemcy zachodnie, rozbrojenie i bezpieczeństwo europejskie.

Z przyjemnością trzeba stwierdzić jednomyślną ocenę obecnej sytuacji i jednomyślnie wskazanie dróg, zmierzających do jej poprawy. Z zadowoleniem trzeba także podkreślić pełne poparcie Belgradu dla polskich inicjatyw, mających na celu nuklearne „desengagement”.

Jeszcze nie zeszyły ze szpalt komentarze na temat belgradzkich rozmów Władysława Gomułki i Józefa Cyrankiewicza oraz towarzyszących im osób, komentarze, podkreślające „bardzo przyjazne stosunki między obu krajami”, a już nasza aktywność, zmierzająca do pogłębienia współpracy ze światem zewnętrznym, dała nowy powód do dziennikarskich rozważań. Chodzi tu o oficjalne wizyty Edwarda Ochaby w Zjednoczonej Republice Arabskiej i Etiopii.

Ich sens jest oczywisty: wzmocnienie pokojowej współpracy na różnych płaszczyznach. I można chyba z góry powiedzieć, że w rozmowach Ochaby — Naser — Hajle Sellasje poszerzy się krąg zbliżonych punktów między dyskutującymi stronami.

Afrykańskie podróże przewodniczącego Rady Państwa towarzyszący duże zainteresowanie. Odpowiada ono faktom: coraz ściślej się splatania się w jedną całość problemów różnych kontynentów oraz pozycji, jaką zajmuje tzw. „trzeci świat”.

Z podanych wyżej względów bacznie też śledzi się na świecie przebieg konferencji państw amerykańskich w Rio de Janeiro.

Zebrała się ona z udziałem 19 krajów po 11-letniej przerwie, choć statut Organizacji Państw Amerykańskich zakłada zwoływanie konferencji co 5 lat.

Poprzednia obradowała w Caracas (Wenezuela) i następna miała się odbyć w r. 1959 w Quito (Ekwador). Jednak częściowo burze polityczne,

które przeszły przez kontynent amerykański, a częściowo niechęć Stanów Zjednoczonych do dyskusowania trudnych dla nich spraw „współpracy” powodowały raz po raz zwłokę.

Przebieg pierwszych dni konferencji w Rio, a także decyzja o skróceniu jej trwania do 30 listopada (pierwotny termin zakończenia: 3 grudnia) świadczą o pośpiechu i są ilustracją obawy przed odśladaniem w dyskusji istotnych problemów.

Czy jednak — jak życzą sobie tego Stany Zjednoczone — rzeczywiście uda się uniknąć sporów i konfliktów, wywołanych na światło dzienne spraw bardzo drażliwych?

Punktów zapalnych może być co najmniej dwa: koncepcja powołania do życia międzynarodowych sił interwencyjnych, o co zabiegała USA, choć wobec oporów nie odważyła się postawić tej sprawy oficjalnie, i skandaliczne dysproporcje gospodarcze, wynikające z bezlitosnego eksploatowania bogactw Ameryki Łacińskiej przez monopol z północy, i tolerowanie rządów zamachowców nie mających oczywiście poparcia własnych narodów.

Na liście tej jest także wiele przykładów interwencji Stanów Zjednoczonych — militarnego, ekonomicznego, politycznego i kulturalnego, — że trudno wszystkie wymienić.

Konferencja w Rio de Janeiro przypomina więc po trochu wulkan — na zewnątrz spokojny, ale w środku pełen rozpalonej lawy.

Na razie Roskowi udaje się pohamować wybuch, czy jednak na długo?

I jeszcze kilkanaście słów o wydarzeniach na scenie azjatyckiej. Zwraca uwagę przede wszystkim pewne ożywienie problemu kasmirskiego. Był on ostatnio dyskutowany i w parlamencie pakistańskim, i indyjskim.

Oznaka optymistyczna co do jego dalszego rozwoju może być wyrażenie zgody przez preza. Pakistanu — Ajub Khana na spotkanie z prem. Indii — Shastriem na terytorium ZSRR.

Jak nasi Czytelnicy z pewnością pamiętają, propozycję taką rząd Indii wysunął we wrześniu br., a więc w okresie największego napięcia w stosunkach: Indie — Pakistan. Obie strony przyjęły wówczas propozycję, ale w sposób nie wiążący. Teraz może ona nabrać realnych kształtów.

Częściej niż w okresie poprzedzającym powraca także na łamy prasy problem wietnamski. Różne nieoficjalne źródła zachodnie podają informacje o wielokrotnych sondażach na temat jego negocjacji.

Taką rolę przypisuje się również pięciosobowej misji senatorów amerykańskich z Mike Mansfieldem na czele, która ostatnio przebywała w Moskwie i Bukareszcie.

Oczywiście, w toku rozmów z prem. Kosyginem i min. Gromyko — wśród pilnych problemów światowych — z pewnością podjęto i problem wietnamski.

Jakie jednak mogą być oznaki „dobrej woli” ze strony USA, jeśli Pentagon wprowadza do wojny w Wietnamie coraz to nowe jednostki, a stratedzy amerykańscy zapowiadają „przebiegłe walki”?

W. SŁAWSKI

Tygodnik ŚWIATA

Władze Moskwy noszą się z zamiarem zbudowania łuku triumfalnego, podobnego do paryskiego. Monument zostanie wzniesiony w pobliżu miejsca, gdzie w 1812 roku za trzymał się Napoleon i żądał kluczy do bram miasta. Poprzedni łuk triumfalny został

wzniesiony w 1935 roku, co było dotychczas przywilejem brytyjskiego przedstawiciela. Ponadto odwołana została straż strzegąca rezydencji gubernatora.

Amerykańscy biskupi zabiegają o zrewidowanie przez obradujący Sobór postanowień dotyczących abstynencji. Chodzi tu zwłaszcza o tak zwane postne piątki. Wskazuje się przy tym na Włochy, gdzie faktycznie post piątkowy nie jest przestrzegany. Większość biskupów włoskich i papież tolerują powyższe zjawisko.

W Sudanie zdelegalizowano partię komunistyczną. Zakaz działalności partii wydany został w atmosferze rozpalonego fanatyzmu religijnego. Sudan był dotychczas jednym krajem arabskim, w którym legalnie działała partia komunistyczna.

Paryż zmienił swe dotychczasowe stanowisko od-

Dowcip jest bronią bezbronną.

ALBERTO MORAVIA — pisarz

zburzony w 1930 roku podczas budowania głównej arterii miasta, ulicy im. Gorkiego.

Do Moskwy przybyła z czterodniową wizytą misja



Smith: Zatrzymam ten okropny zegar...

senatorów amerykańskich na czele z przywódcą większości demokratycznej Mansfieldem. Agencje zachodnie snują przypuszczenia, iż treścią rozmów w Moskwie mogą być sprawy szukania szansa na położenie kresu konfliktowi wietnamskiemu.

W stolicy Salzburgu trwa swoista „próba sił” między samowolnym premierem Smithem a gubernatorem brytyjskim Gibbonsenem. Przerwano połączenia telefoniczne z rezydencją gubernatora, odmówiono dostarczenia 17 skrzyń piwa bez opodatkowania.

nośnie sprzedaży francuskiej broni białemu reżimowi Afryki. Nie zezwolono na eksport 18 wojskowych helikopterów zakupionych przez Rodezję w jednym z przedsiębiorstw lotniczych Francji. Poprzednio, te same helikoptery były bez trudu eksportowane do Rodezji, Południowej Afryki i Portugalii.

„Antyradziecka publikacja w prasie chińskiej” — pod

kilkoma wysokimi urzędnikami hitlerowskiej administracji z okresu okupacji (w tym z szefem hitlerowskiej policji w Kopenhadze) żyjącymi obecnie w NRF i pełniącymi tam odpowiedzialne funkcje.

W stolicy ChRL w Pekinie zbudowane zostanie metro. Wszystko wskazuje na to — pisze AFP, iż inżynierowie chińscy kierować się będą przy jego budowie doświadczeniami metra paryskiego. Ta sama agencja utrzymuje, iż prawdopodobnie metro pekińskie będzie jednym z wielkich przedsięwzięć trzeciego planu pięcioletniego ChRL.

Ambasador USA Henri Cabot Lodge jest ostatnio przyczyną irytacji sąjońskich oficjeli. Powód: częste podróże ambasadora do Syjamu. Podróże te noszą charakter zupełnie prywatny, gdyż żonę Amerykanów przebywających w Wietnamie nie pozwolono zamieszkać w Sajgonie, wobec czego ulokowano je w Bangkoku. Tymczasem w Syjamie przebywa również były szef junty wojskowej, rywal aktualnych władców Sajgonu, generał Minh. Reżim obawia się, aby Cabot Lodge nie spowodował powrotu antagonisty do Sajgonu.

Kampania wyborcza we Francji. Kandydat lewicy Mitterand zaprzeczył prze-

Pisanie pamiętników to operacja, której dokonuje się na samym sobie bez użycia narkozy.
JEAN PAUL SARTRE

ciw używaniu przez de Gaulle'a barw narodowych w kampanii propagandowej. Na jednym z plakatów zdjęcie ustępującego prezydenta umieszczono jest na tle trójkolorowej flagi z napisem: „Dla zwycięstwa Francji”. Lecanet stwierdził, iż „nie występuje przeciwko generałowi de Gaulle'owi, lecz ubiega się o zajęcie jego miejsca”. Kandydat Tixier Vignancour reklamuje się między innymi przez nakreślenie w celach kampanii film pt. „Siedem lat nieszczęścia”.

Proamerykańska większość ONZ raz jeszcze uniemożliwiła Chinom Ludowym zajęcie należnego im miejsca w łonie tej organizacji. Za przyjęciem ChRL głosowało 47 państw, taka sama ilość wypowiedziała się przeciw,

W SPRAWIE MARNOWANIA PAPIERU

Pan Jot, który przyrządza co tydzień przegląd prasy w warszawskiej „Kulturze”, ma stanowczą rację. Powiada mianowicie, że my wcale nie cenimy wartości papieru, czego najlepszym przykładem jest przewlekana ponad miarę dyskusja o „Popiołach”. No, rzeczywiście, ostatnio zabrali się do dyskusowania profesorowie historycy, tyle tylko, że — jak na razie — zatrzymali się na etapie tłumaczenia sobie nawzajem, który z nich ma naprawdę historię. Z lektury ostatniego numeru „Polityki” wynika, że profesor Wyka najlepiej zna. Nie przesadzajmy jednak sprawy, głos zabierze pewnie jeszcze kilkadziesiąt innych.

Co zaś tyczy Kisiela z „Tygodnika Powszechnego”, to on sam przyznaje w swoim ostatnim felietonie „O bylejakości”, że marnuje tak przecież cenny papier. Kisiel pisze: „Wiele osób zarzuca mi, że moje felietony też już są byle jakie. Prawda: nie wypowiadam się dokładnie ani w pełni, grzęznę w aluzjach i domysłach, mrugam porozumiewawczo to lewym, to prawym okiem, ale nikt mi już (chyba starzy i uczeni w moich szyfrach czytelnicy) nie odnawia”. Zdaniem Kisiela całemu „Tygodnikowi Powszechnemu” czytelnicy nie odnawiają, bo to, co się tam drukuje jest „mdłe, czyste informacyjne, stragane jak ożnia wychylenia w kierunku jakiegokolwiek skrajniejszego czy ryzykowniejszego poglądu”.

Myślę, że można Kisielowi ufać, on zna dobrze swoje pismo. Wytwarza się więc sytuacja nieco paradoksalna. Papieru mało, a i tak go marnujemy. Przed kilku tygodniami, o czym zresztą wspominałem, pan Anatol Stern obraził się na pana Jana Spiewaka i uważał za stosowne zawiadomić czytelników, że oddaje sprawę do Sądu Koleżeńskiego. W ostatnim numerze „Kultury” pani Janina Jaworska broni pana Spiewaka przed panem Sternem, a redakcja „Kultury” uważa, że sądy pani Jaworskiej o Sternie i Spiewaku należy koniecznie wydrukować. A zaraz obok docent doktor medycyny ukrywający się pod inicjałami, broni felietonistę sportowego „Kultury” pana Tomaszewskiego przed zarzutami pana Maliszewskiego, który jest także felietonistą sportowym, tyle tylko, że z innego pisma, a mianowicie katowickiego „Sportu”. W sukurs idzie mu pan Fries, adwokat z Drohobycza, który podobnie jak pan Tomaszewski i docent doktor medycyny uważa, że trenera Koniecznego trzeba wziąć do galopu za klęskę naszych piłkarzy w Rzymie. Pan mecenas mieszka na terenie Zwia-

zku Radzieckiego i może z tej racji publikuje go „Kultura”. No, ale my uważamy, że marnowanie papieru nie powinno nosić cech międzynarodowych, to nasza polska specyfika.

Gdyby tak uważnie przejrzeć nasze pisma społeczno-kulturalno-literackie i policzyć ilość zmarnowanego papieru, tu dwie szpalty, tam dwie kolumny — nie wyłączając oczywiście „Odgłosów” — okazałoby się, że z tych braków można by utworzyć jeszcze dwa pisma, albo i trzy. Jeżeli zaś nie utworzyć nowych to przynajmniej zwiększyć objętość wychodzących.

Proszę spojrzeć na prasę łódzką. Chudziutka, skromna, niepokazna. Organ partii nie posiada niedzielnego dodatku, co nie jest bez wpływu na poważny choć szczęściem jeszcze nie całkowicie zanik reportażu. Nie tylko zresztą reportażu. „Dziennik Łódzki” nie może dać ambitnemu dziennikarzowi, a ma przecież takich, możliwości wypisania się, podobnie „Express Ilustrowany”, pożałujcie Boże jak ilustrowany. Nasz łódzki dziennikarz uprawia głównie młockę informacyjną, cenną i konieczną, ale z trudem zdobywa nazwisko, które zyskuje się przecież przez uprawianie rodzajów ambitniejszych i troszkę większych niż dwudziestowieczna informacja. Nie inaczej z „Odgłosami”, które wyliczają mi felieton co do milimetra, mnie i innym, ponieważ nie mają miejsca, ponieważ od lat nie mogą uzyskać dodatkowej kolumny.

Mogliśmy ostatnio przeczytać, że wydawnictwa książkowe i prasowe otrzymały 10—15 procent więcej papieru. Z pewnością tak jest, ale papier omija Łódź. Słyszeliśmy nie jeden raz, że Łódź otrzymała kwartałnik, reprezentujący intelektualne i twórcze środowiska miasta, nie pamiętam ile już wyznaczano terminów wydania pierwszego numeru, wyznacza się go chyba nadal, ale pewnie jest tylko to, że kwartałnik — w lesie.

Trzeba skończyć z tą oczywistą niesprawiedliwością. Jeżeli wolno marnować papier tytuł pismom z innych miast, czemuż nas takiej możliwości pozbawiać? Nie jesteśmy ani o krztynę gorsi od innych. U nas także panowie i panie obrażają się na siebie i pomstują na trenera Koniecznego, a równocześnie wielu ludzi utalentowanych czeka na kawałek papieru, który z pożytkiem mogliby zapisać.

Wienbauer



W Bonn: Ten dialog nie wróży nam nic dobrego.

takim tytułem moskiewska „Prawda” publikuje informację o artykule pekińskiego dziennika „Zhenminzhipao”, który „gwałtownością ataków i brutalnością tonu”, wyróżnia się nawet na tle innych materiałów tego rodzaju publikowanych regularnie w prasie chińskiej.

Przedstawiciele SH powietrznych USA w Wietnamie przyznają, iż oficjalne dane o stratach samolotów amerykańskich nie ukazują pełnej prawdy. Według komunikatów rządu USA Amerykanie stracili 133 maszyny. W rzeczywistości jednak ponad 60 proc. samolotów działających w rejonie Wietnamu ucierpiało w różnym stopniu od ognia obrony przeciwlotniczej.

Telewizja duńska zmuszona została na skutek masowych protestów społeczeństwa do wycofania zapowiedzianej wcześniej audycji poświęconej nieudanej manifestacji duńskich nazistów w Kopenhadze. Program przewidywał m. in. wywiad z

20 delegacji wstrzymało się od głosu.

A oto komentarze niektórych

Władza nie lubi, kiedy się z nią tylko flirtuje, ona żąda wyznania miłosnych.

FRANCOIS MAURIAC

rych agencji na ten temat: DPA: — Najbardziej charakterystyczną cechą głosuwa nia jest to, że ilość państw trzymających się linii politycznej Waszyngtonu wyraźnie zmalała.

AFP: — Dziwnym zbiegiem okoliczności po głosowaniu, w rezultacie, którego odrzucono wniosek o przyjęcie Chin, wszyscy w ONZ są zadowoleni: zwolennicy z powodu zwiększenia się ilości krajów opowiadających się na rzecz przyjęcia ChRL, przeciwnicy, że raz jeszcze udało im się przeciwstawić tej nieodwracalnej tendencji.

Ruch związkowy w obliczu problemów współczesności

Rozmowa z delegatem na VI
Światowy Kongres Zw. Zaw.
— Ireną Sroczyńską

Redakcja „Odgłosów” zwróciła się do posła na Sejm PRL, przewodniczącej Zarządu Głównego Zw. Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego, Delegata na VI Światowy Kongres Związków Zawodowych i członka Rady Generalnej SFZZ, towarzyszy Ireny Sroczyńskiej z prośbą o rozmowę na temat obrad VI Światowego Kongresu Związków Zawodowych. Poniżej zamieszczamy tekst rozmowy.

REDAKCJA: Z prasy, radia i telewizji wiadomo, iż VI Światowy Kongres Związków Zawodowych, który niedawno zakończył obrady w Warszawie, miał wyjątkowy charakter. Co się na to złożyło?

TOW. I. SROCZYŃSKA: Nie ma w tym stwierdzeniu ani trochę przesady. Warszawski Kongres był najbardziej reprezentatywnym spotkaniem związkowym od dziesięciu lat. Pozwolił sobie tylko przypomnieć, że wzięli w nim udział delegaci z 98 krajów, reprezentujący interesy ponad 168 milionów ludzi pracy.

— Światowa Federacja Związków Zawodowych zrzesza więc aż blisko 170 milionów ludzi?

— Nie. Sto trzydzieści kilka milionów, lecz w obradach Kongresu, obok central zrzeszonych w SFZZ, uczestniczyli również przedstawiciele związków afiliowanych w MKWZZ, czyli Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych, w MKChZZ — Międzynarodowej Konfederacji Chrześcijańskich Związków Zawodowych oraz szeregu mniejszych autonomicznych central związkowych. Poza tym byli tam też przedstawiciele międzynarodowych organizacji niezwiązkowych, a więc i takich na przykład, jak UNESCO, SFMD, Międzynarodowej Organizacji Kobiet, Międzynarodowej Organizacji Prawników Demokratów i inne. A zatem delegaci blisko 170 milionów ludzi pracy! Ież problemów do omówienia, ileż spraw do załatwienia.

Chcę jeszcze podkreślić, iż ani miejsce obrad VI Światowego Kongresu — Warszawa, ani dzień ich rozpoczęcia — 8 października 1965 roku, nie były przypadkowe. To właśnie 8 października 1945 roku, niemal naajutrz po zakończeniu drugiej wojny światowej, odbyła się w Paryżu pierwsza międzynarodowa konferencja związków zawodowych, na której powołano do życia SFZZ. I właśnie teraz, 8 października bieżącego roku, w powstającej ze zgliszcz i ruin stolicy Polski, która stała się symbolem bohaterstwa i walki naszego narodu z hitlerowskim faszyzmem, w pięknej oprawie Sali Kongresowej, obchodziliśmy jubileusz dwudziestolecia Światowej Federacji Związków Zawodowych.

RED.: Jakim problemem poświęcił Kongres najwięcej uwagi?

TOW. I. SROCZYŃSKA: Obok podstawowej sprawy, jaką stanowią problemy walki o pokój, głównie dwie absorbowwały uwagę delegatów. Pierwsza — to zagadnienie jedności i generalnej linii działania w światowym ruchu związkowym. Omawiano tu dwie równoległe kwestie: jedności działania SFZZ z innymi federacjami związkowymi oraz jedności w ramach samej SFZZ. Sprawozdawczo-programowy referat sekretarza generalnego SFZZ, towarzysza Saillan-

ta, jasno sprecyzował kwestię jedności działania SFZZ z MKWZZ i MKChZZ oraz innymi federacjami, uznając takie właśnie działanie jednościowe za konieczne i pożyteczne dla interesów ludzi pracy całego świata. Stanowisko to poparła olbrzymia większość delegacji, biorących udział w Kongresie. Kierunek jednościowy podkreślił szczególnie mocno w swym przemówieniu wiceprzewodniczący Biura Wykonawczego SFZZ i przewodniczący CRZZ, towarzysz Loga-Sowiński. Towarzysz Loga, wskazując na niektóre braki w pracy SFZZ, a w szczególności na braki w pracy jej międzynarodowych zrzeszeń branżowych, podkreślił przy tym bardzo mocno, iż w niczym to nie umniejsza ogromnej i pożytecznej roli, jaką w okresie swej dwudziestoletniej działalności odgrywała, i odgrywa nadal, Światowa Federacja Związków Zawodowych na arenie międzynarodowej w walce o pokój, postęp i prawa klasy robotniczej.

Inicjatywa jednościowego działania w ruchu związkowym, która wychodzi od SFZZ spotyka się z uznaniem ludzi pracy całego świata, niezależnie od tego do jakich central związkowych przynależą. Wskazuje to na duży autorytet SFZZ w skali międzynarodowej oraz na uznanie i poparcie mas pracujących świata dla taktyki i linii jej działania. Z pewnością wielką rolę odgrywa tu też fakt, iż SFZZ uznaje zasady pokojowego współistnienia za podstawową linię swego działania.

— A jeżeli chodzi o jedność działania w ramach samej SFZZ?

— Niestety. Na Kongresie ujawniły się dążności do dwóch odrębnych linii działania. Pierwsza linia — jedynie słuszna — to podstawowa, generalna linia działania SFZZ, realizowana konsekwentnie i popierana przez ogromną większość delegacji, w tym również przez związkowców polskich. Jest to linia pokojowego współistnienia i zapobiegania wszelkim konfliktom zbrojnym. Druga, całkowicie sprzeczna, reprezentowana przez Ogólnochińską Federację Zw. Zawodowych, negująca dotychczasowe pryncypialne zasady działania ruchu zawodowego — walki o pokój w ramach pokojowego współistnienia. Takiej koncepcji Kongres nie mógł przyjąć i nie przyjął. Jest ona sprzeczna z wolą mas pracujących całego świata, gdyż, jak to ogólnie wiadomo, a nam, Polakom, w szczególności, w każdej wojnie największe ofiary ponoszą właśnie ludzie pracy.

Drugi ważny zespół spraw, którym poświęcił Kongres wiele uwagi i pracy — to skomplikowane problemy trzeciego świata. A zatem poparcie dla krajów kolonialnych, półkolonialnych i niedawno wyzwolonych w ich walce o pełną niezawisłość narodową, efektywna pomoc w odparciu brutalnej agresji imperialistycznej w Wietnamie, Dominikanie, Kongo-Leopoldville, taktyka ruchu związkowego w warunkach nowo powstającego proletariatu i inne. W szczególności w sprawie poparcia dla narodu wietnamskiego w jego nieustępliwej i bohaterkiej walce z amerykańskim zaborcą Kongres zajął zdecydowanie i całkowicie jednolite stanowisko. Kongres jednomyślnie potępił brutalną agresję amerykańską. Podkreśliam to jeszcze raz — jednolite i zdecydowane stanowisko absolutnie wszystkich delegacji.

RED.: Czy były jeszcze jakieś inne jednościowe decyzje?

TOW. I. SROCZYŃSKA: Tak. Były. Na przykład przy zatwierdzeniu dokumentów Kongresu przyjęto jednomyślnie rezolucję w sprawie zabezpieczenia społecznego ludzi pracy, uchwałę dotyczącą problemów kobiet pracujących, młodzieży.

RED.: Czy wszystkie dokumenty kongresowe przyjęto jednomyślnie?

TOW. I. SROCZYŃSKA: Nie. Byłoby to nawet niemożliwe, nierealne. Wszak w Kongresie uczestniczyły delegacje związkowe, z różnych kontynentów świata, o różnej orientacji i działające w różnych warunkach. Wprawdzie niektóre sugerowały, jak to na przykład miało miejsce podczas dyskusji nad punktem 12 regulaminu kongresowego, żeby wszystkie dokumenty przyjmować jednogłośnie. Jednakże przytaczająca większość delegacji zdecydowanie odrzuciła taką sugestię, jako niezyciową, nie demokratyczną i szkodliwą dla jedności ruchu związkowego. I słusznie. Bo dlaczego na przykład dwa procent delegatów miałoby decydować o losie jakiegokolwiek dokumentu, skoro pozostałe dziewięćdziesiąt osiem procent uważa go za słuszny i oddaje nań swe głosy? My, Polacy, wiemy coś z naszej historii o podobnym „liberum veto”.

RED.: Co wniosła do obrad VI Światowego Kongresu polska delegacja?

TOW. I. SROCZYŃSKA: Przede wszyst-

kim jednościowe i rzeczowe wystąpienie towarzysza Logi wniosło dużo spokoju do obrad, oraz wiele konstruktywnych uwag i wniosków dotyczących dalszej pracy SFZZ.

Polscy delegaci zorganizowali wiele spotkań delegatów na Kongres. Między innymi odbyło się bardzo pożyteczne branżowe spotkanie włókienników, którzy byli reprezentowani bardzo licznie. Wspomnę, że byli delegaci włókienników z Włoch, Francji, Związku Radzieckiego, Belgii, Czechosłowacji, Urugwaju, Bułgarii, Rumunii, Chin, Indonezji, Indii, Węgier i NRD. Na spotkaniach dokonaliśmy wymiany interesujących doświadczeń z dziedzin nurtujących włókienników, odzieżowców i pracowników przemysłu skórzanego różnych krajów. Odbyły się spotkania polskiej delegacji z delegacjami Związku Radzieckiego, Czechosłowacji. War to też wspomnieć o wielu interesujących, przyjemnych, serdecznych rozmowach, jakie prowadziliśmy w kulturalnych, w przerwach między sesjami, z członkami przeróżnych delegacji.

Miłym, i ciepło przyjętym, akcentem obrad było powitanie delegatów na Kongres, które zgotowali im przedstawiciele warszawskich robotników. Wręczyli oni delegatom pamiątkowe chusteczki w upomniku od polskich włókienników.

RED.: Jakże jeszcze inne prace prowadzi Kongres?

TOW. I. SROCZYŃSKA: W przerwach między posiedzeniami intensywnie działały liczne komisje kongresowe. Wymienię choćby kilka: komisja kandydatur, komisja wnioskowa, dla spraw kobiet pracujących, turystyki i wypoczynku, do spraw zabezpieczenia społecznego i szereg innych. Niemal we wszystkich komisjach pracowali polscy delegaci. Ja miałam zaszczyt przewodniczyć komisji do spraw kobiet pracujących.

RED.: Wybaczcie Towarzysko, ale jeszcze jedno i już ostatnie pytanie. Z jakim dorobkiem w zakresie akcji solidarnościowych i międzynarodowych kontaktów przyszedł na Kongres nasz, słynny ze starych tradycji, Związek Włókienników, któremu przewodniczy?

TOW. I. SROCZYŃSKA: Śmiem twierdzić, że na VI Światowy Kongres przyszedłszy ze sporym dorobkiem. Z naszej inicjatywy odbywa się co roku — w dniach 6-12 marca — Tydzień Międzynarodowej Solidarności Włókienników. Bierzymy aktywny udział w pracach naszego międzynarodowego zrzeszenia i staramy się wnieść do nich konstruktywne elementy. Prowadzimy ożywioną korespondencję z pokrewnymi nam centralami branżowymi zarówno zrzeszonymi w SFZZ, jak i spoza niej. Nawiazaliśmy bliskie kontakty z belgijskimi i austriackimi związkami włókienników, afiliowanymi w MKWZZ. W maju bieżącego roku, w Belgii, uczestniczyłam w konferencji belgijskich pracowników przemysłu włókienniczego. Również w bieżącym roku nasz Zarząd Główny gościł w Łodzi kierownictwo belgijskich i austriackich związków tej branży. Takie kontakty są pożyteczne dla obu stron, okazało się bowiem, iż mamy wiele wspólnych, nurtujących nas problemów. W tym roku, na zaproszenie, złożyliśmy wizytę włókiennikom w Finlandii i Jugosławii. Na przyszły rok jesteśmy zaproszeni do Austrii i Belgii, a także na kongresy związków do Urugwaju i Francji. W roku 1966 chcemy zaprosić do nas kilka delegacji włókienników zarówno z krajów socjalistycznych, jak i kapitalistycznych. Oczywiście na co dzień utrzymujemy bardzo bliskie i serdeczne kontakty z towarzyszącymi z central związkowych krajów socjalistycznych. Kontakty te będziemy coraz bardziej rozszerzać. Wymiana doświadczeń z włókiennikami, odzieżowcami i pracownikami przemysłu skórzanego z krajów naszego obozu jest dla nas szczególnie cenna. No, ale zaczęłam już mówić o sprawach na dziś i planach na przyszłość.

RED.: Dziękuję za rozmowę i w imieniu redakcji „Odgłosów” pozwalam sobie złożyć wam, Towarzysko, szczerze gratulacje z racji wyboru do naczelnych władz Światowej Federacji Związków Zawodowych.

ROZMAWIAŁ:

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI



Port w Rijce

NOTATNIK STUDENCKI

Do tej pory omawiane były w „Notatniku” sprawy dotyczące raczej ducha studenta. No dobrze, a co z ciałem? Nie, proszę sobie nie nie wyobrażać i nie obliczać. Zawiniło nam wszystkim porzekadło o zdrowym duchu w zdrowym ciele. Założmy, że duch zdrowy. A ciało?

Studentom nie potrzeba wyjaśniać co to jest „Palma”. (Oczywiście oficjalnie PLMA). Ponieważ w zadufaniu swoim zakładamy, że nie tylko studenci są czytelnikami tej kolumny, przeto wyjaśnimy, że PLMA, to „Pomoc Lekarska dla Młodzieży Akademickiej”, a od roku 1951 „Ośrodek Zdrowia Wyodrębniony dla Lecznictwa Akademickiego”. Stara nazwa miała ładniejszy skrót, który pozostał do dziś. A studentom rzeczywiście nie ma co wyjaśniać, bo chociażby ktoś przez pięć lat odznaczał się wybitną odpornością na wszelkiego rodzaju zarażki i zarazki, i pomocy lekarskiej nie potrzebował, to z „Palma” i tak się zapozna. Bo sprytni lekarze

wymyślili wstępne badania kan dydatów na wyższe uczelnie, przez które to badania — w ich skład wchodził oprócz normalnego opukiwania, mierzenia ciśnienia i tętna, także badanie krwi, ważenie, mierzenie wzrostu i obwodu klatki piersiowej przy wdechu i wydechu, prześwietlenie, sprawdzanie wzroku i ścisła rejestracja stanu uzeblenia — musi przejść każdy. Mało tego, kontrola lekarska odbywa się co semestr; obowiązkowo trzeba wtedy zaliczyć prześwietlenie i coroczną próbę ze szczepionką BCG. A ponieważ studenci należą do tych normalnych pacjentów, co do lekarza chodzą jak już nie ma rzeczywiście innego wyjścia i można było przypuszczać, że do semestralnych badań z wielkim entuzjazmem raczej odnosić się nie będą, ustalono, że aby zaliczyć cały semestr, trzeba mieć w indeksie odpowiedni stempel, stwierdzający przebieg otych badań. Przy okazji prosba do studentów w imieniu zespołu lekarskiego.

— Zaliczajcie badania w u-

stalonych terminach. Później, w

inny dzień przychodzi inni,

„wyznaczeni” — robi się zamieszanie, lekarze się denerwują,

wy się denerwujemy...

Najgorzej jest ze studentami

z pierwszych lat. Młodzi ludzie,

którzy dostali się na

wyższą uczelnię przyszli naj-

częściej prosto ze szkół, gdzie

obowiązkowo inne zasady nau-

ki, inne metody. Teraz trzeba

wszystko samemu. W natłoku

codziennych, obowiązkowych za-

jęć trzeba znaleźć czas na sa-

modzielną naukę. Nie zawsze

ten czas jest, nie zawsze się

chce. W efekcie bywa tak, że

do nauki często zasiada się

na dwa, trzy dni przed kolok-

wium czy egzaminem. Dużo ma-

terialu, bezsenne noce, kawa,

zdeenerowanie — uda się, czy

nie? — wrzeszcząc dzień próby.

Zwycięstwo, albo przegrana.

Rezultaty? Zmęczenie, coraz

większe zmęczenie, potem przy-

chodzi nerwica, która jest jed-

ną z przyczyn 40 proc. odświe-

ży z I i II roku. Jednostki słab-

sze odpadają, nie potrafią się

przystosować, przeniesić na no-

wy grunt. Oczywiście interwen-

cja lekarska jest w tym wy-

padku niezbędna. Lekarze in-

terwenują także w innych wy-

padkach. Co sprytniejsi chwytają się różnych sposobów, aby wydebić na fatalny dzień jakiegoś świadczenia lekarskiego. Jeśli żaden wirus nie zaraził, jeśli noga się nie pośliznęła i kostka nie uległa skręceniu, trzeba pomóc matce naturze. Od czego pomysłowość. Aby wywołać temperaturę wstrzyknijemy się benzynę, je się surowe kartofle, albo proszek do pieczenia ciast. Podobno skutkuje, ale nie polecam.

Istnieje więc dla potrzeb studentów lecznictwo podstawowe i specjalistyczne. Lecznictwo podstawowe to przede wszystkim 8 poradni ogólnych, przy poszczególnych uczelniach, gdzie pracują lekarze-Interniści, stomatolodzy i pielęgniarze. Lekarze specjalistyczni w większości przyjmują w budynkach przy ulicy Piotrkowskiej 99, niektórzy, np. urolog czy endokrynolog przyjmują w szpitalach. Poradnie Zdrowia Psychicznego, protezownia, izba chorych, pol sanatorium.

Specjaliści nie mogą narzekać na brak pracy. W Zespole na Piotrkowskiej przeżywa się około 200 osób dziennie, w tym także studenci, którzy bawią w Łodzi przejazdem. Największym powodem cieszą się gabi-

ty laryngologa, okulisty, dermatologa i chirurga. Tam prawie zawsze jest komplet pacjentów. Trochę mniejsza frekwencja notowana jest w gabinecie dentystycznym, sama znam sporo osób, które zasiadały na fotelu dentystycznym tylko w wypadku przymusowego spraw dzenia uzeblenia. Ja też.

Co najczęściej, poza „normalnymi” chorobami, jak grypa lub angina trapi studentów? Dość popularne są choroby układu krążenia, serca, wszelkie nerwice, reumatyzm i choroby przewodu pokarmowego. Jest się też czym pochwalić. W łódzkim środowisku w znacznym stopniu zlikwidowano gruźlicę. Systematyczne prześwietlenia pozwalają wcześniej wykryć objawy chorobowe. Chorych wysyła się do sanatorium w Zakopanem, jakiś czas wyłeczony pacjent przebywa w polsanatorium, gdzie otoczony jest opieką lekarską, póki nie wróci do świata zdrowych.

Do wiadomości zainteresowanych podaję, że istnieje specjal na słowka dietetyczna dla studentów z chorobami przewodu pokarmowego, gdzie można się odżywiać smacznie, tanio i przede wszystkim zdrowo. Na około 600 osób zarejestrowa-

nych z chorobami żołądka, ze stółkami korzysta 80-100 osób. Wątroblarze i żółtaczkowcy! Korzystajcie z tego, co przeznaczone przede wszystkim dla was!

Wróćmy jeszcze do wstępnych badań, nie są one organizowane bez powodu. Wszystkie będą służyć statystyce. Te same badania, mierzenia i ważenia — są przeprowadzane na V roku, aby potem na podstawie danych stwierdzić w jakim stopniu studia wpływają na zdrowie statystycznego studenta. Można się wtedy np. dowiedzieć, że przy wdechu obwód klatki piersiowej zwiększył się o 2 cm, student o 1 cm urosł, 3 kg schudł, jama ustna pozostała raczej bez zmian, tyle, że 3 zębów ubyło...

W listopadzie PLMA obchodzi 20-lecie swojej działalności. 20 lat służy już studentom i co najważniejsze, efekty są widoczne. Wszystkim pracownikom Zespołu życzyć należy jasnych, przestronnych gabinetów i dużo wdzięcznych uśmiechów od studenckich pacjentów.

BOGDA MADEJ

Wśród partyzantów i menażerów

Dalszy ciąg ze str. 1

miopłodów, aniżeli było to bezpośrednio po wojnie.

A jednak myli się ten kto uważa dzisiejszą Jugosławię za kraj pozbawiony problemów ekonomicznych, kraj o niesłychanie wysokiej stopie życiowej. Podkreślając cały osiągnięty postęp, likwidację bezrobocia, tłumów ludzi odzianych w skórzaną koczowniczą, koczujących na dworcach miast w poszukiwaniu pracy, trzeba równocześnie widzieć mechanizmy, które składają się na ów dostatek luksusowych wyrobów, pełne półki sklepów.

Oficjalne statystyki odnotowują, że średnia płaca wykwalifikowanego robotnika kształtowała się w roku 1964 na poziomie 50-55 tysięcy dinarów. Czy to dużo czy to mało? Skonfrontujmy więc z cenami jakie aktualnie są na rynku jugosłowiańskim. Tak więc w roku 1964 przyswoiły, męski garnitur kosztował od 30 do 40 tysięcy dinarów, para butów od 4-6 tys. dinarów, kilogram mięsa — około 2 tys. dinarów, chleba — 150-180 dinarów, a najpopularniejszy tutaj samochód osobowy tzw. „fiat” czyli „Zastava 750” około 1.200 tys. dinarów. Trzeba jednak tutaj dodać gwoli ścisłości, że ostatnio właśnie w pierwszej połowie bieżącego roku nastąpiły znaczne podwyżki cen na rozmaite wyroby, podwyżki usankcjonowane uchwałą wrześniową Komitetu Centralnego Związku Komunistów Jugosławii. Tak więc różne wyroby przemysłowe podskoczyły od 25 do 34 proc. To chyba istotna informacja dla naszych turystów, którzy tak bardzo uwielbiają „shopping”.

Można więc powiedzieć na tej podstawie, że mnogość wyrobów jest tutaj wynikiem sprawnego działania mechanizmu cen, który bardzo sprawnie reguluje nie tylko podaż, ale także i nade wszystko popyt i jest czymś instrumentem oddziaływania na budżet domowy przeciętnej rodziny jugosłowiańskiej. Do tego dochodzą jeszcze inne sprężyny właśnie gwarantujące ową szkodzącą dla polskiego przybysza wysoką klasę wyrobów. To przede wszystkim konkurencja między poszczególnymi fabrykami tych samych wyrobów, konkurencja posunięta tak daleko, że taka sama para skarpetek produkowanych w dwóch różnych fabrykach może mieć dwie różne ceny wynikające z różnic w organizacji pracy, wydajności i wszystkiego tego co się składa na ostateczną cenę. To wreszcie wynik określonych tendencji zapoczątkowanych przede wszystkim w roku 1948, a wyrażających się mpożliwie najszybszym rozwojem przemysłów przetwórczych gwarantujących szybki

zysk, wzrost produkcji. Myślę, że istnieje jeszcze jeden element składający się na ową zewnętrzną powłokę jugosłowiańskiego rynku — chęć dopasowania do potrzeb i gustów krajów zachodniej Europy, gdyż przede wszystkim w tym właśnie kierunku idą wysiłki eksportowe dzisiejszej Jugosławii.

Takie jednostronne i w gruncie rzeczy niezbyt równomierne rozwijanie krajowej ekonomiki musiało doprowadzić obok ważkich pozytywów, również do zjawisk niepokojących, których najpełniejszym wyrazem było w ostatnim szczególnie roku niewykorzystywanie w pełni mocy produkcyjnych zakładów, zafacanie własnej bazy surowcowej, a z drugiej strony procesy inflacyjne. Stąd też wzięła się jugosłowiańska reforma, której celem tak w sposób lapidarny określili w rozmowie przeprowadzonej ze mną komentator ekonomiczny organu KC ZKJ — „BORBA” — S. Vujica:

— Reforma? Potrzeba jej przeprowadzenia narastała u nas stopniowo. Dla naszej ekonomiki będzie to witamina „S” — stabilizacji.

Wicepremier Borys Krajger oświadczył na Zgromadzeniu Narodowym Jugosławii, że: „Punktem wyjścia dla obecnej reformy jest zastosowanie czynników stabilizujących gospodarkę. Chodzi o podjęcie procesu intensyfikacji gospodarowania i włączenie rynku jugosłowiańskiego w rynek światowy”.

Tak w lapidarnym skrócie można powiedzieć o procesach ekonomicznych jakie aktualnie przeżywa ten zaprzyjaźniony z Polską kraj. W czym się to praktycznie wyraża? Choćby w dalszym usamodzielnieniu przedsiębiorstw, które muszą już teraz nawet w przypadku podejmowania prac inwestycyjnych liczyć tylko na siebie i na swoje środki, w ten sposób przede wszystkim intensyfikując istniejące maszyny i urządzenia na zmianę relacji dinara w stosunku do dolara, relacji bardziej odpowiadającej rzeczywistej wartości jugosłowiańskiej waluty. Jeszcze niedawno 1 dolar wart był oficjalnie 750 dinarów. Oznaczało to, że para jugosłowiańskich butów w Paryżu, Londynie czy Nowym Jorku kosztowała 9-10 dolarów, gdy praktycznie powinna kosztować nie więcej jak 6-7 dolarów. Ograniczało to oczywiście konkurencyjność wyrobów jugosłowiańskich w stosunku do innych towarów z innych krajów. Dolar wart już nie 750, ale 1250 dinarów zmieniała relację na korzyść wytwórców z Sawy i Dunaju. Wreszcie reforma wrześniowa, która stała się obecnie politycznym hobby nie tylko ogółu Związku Komunistów Jugosławii, ale całego społeczeństwa, które widzi w niej warunek stopniowego wzrostu stopy życiowej i stabilizacji, umożliwia i daje szansę rozwoju krajowej bazy surowcowej. To co kiedyś się nie opłacało, staje się opłacalne. Jedną z najbogatszych złóż boksytu, srebra, miedzi mają szansę dostać się do tygrysa i retort zakładów chemicznych. Wreszcie wypada tutaj skłonić głowę przed śmiałą decyzją krytycznego spojrzenia na tzw. „inwestycje polityczne” przeprowadzane, głównie na południu — w Macedonii czy w autonomicznym okręgu Kosovo-Metohia. Nawet i te fabryki po reformie nie będą miały „forów” ekonomicznych w stosunku do innych lepiej zorganizowanych

zowanych i wydajnych fabryk. Rachunek ekonomiczny zysków i strat, dobrej roboty i partactwa obowiązywać będzie wszędzie i wszyscy ponosić będą jego konsekwencje.

ATUT NIE TYLKO NIEBA

Procesy jakie zachodzą w tym południowym kraju skłoniły niektórych przypisywać jego szczególnym warunkom geopolitycznym. Być może felietonista „Tygodnika Powszechnego” Kisiel, powiedziałaby: — „Turystyka...”

Tak rzeczywiście. Sam widziałem na dworcu w Rijcie wahadłowy pociąg „TOUR-EUROPA”, który przywiozł z Hamburga następne setki zachodniemiejskich turystów. Tylko przez dwa punkty graniczne w Gorzli oraz w Podkorenu przejechało w ciągu sezonu turystycznego 1965 r. około 200 tysięcy samochodów osobowych. Tam nikt się nie pyta o paszport czy o ile śliwownicy wieszczą w swojej walizce. Na punktach turystycznych obowiązują tamtejszych „wopistów” jedno hasło: Jedź szybko, inni też chcą się dostać na drogę słońca.

W roku 1964 Jugosławia zarobiła z turystyki na czysto 92.600 tys. dolarów, a statystyki jugosłowiańskie odnotowały „obecność” 10.085 tys. tzw. noclegów turystycznych gości z różnych krajów Europy, wśród których pierwsze miejsce zajmowali przybysze z NRF, a następnie z Austrii, Włoch, Anglii, Skandynawii. Polacy przenocowali w roku 1964 — 168 tysięcy razy.

W Zagrzebiu mieszkałem w domu starego „boraka” — partyzanta, który razem z Tito i Vukmanowicem chodził po górach Bosni-Turdecie — to człowiek, który po wojnie za swoje zasługi został mianowany naczelnym dyrektorem jednego z zagrzebskich zakładów produkujących instrumenty muzyczne. Obecnie jest tzw. pensjonierem, po naszymu mówiąc — rencistą. Za krew i swoją walkę otrzymał od państwa nie tylko 120 tysięcy dinarów miesięcznej renty, ale także domek dla swojej rodziny. Ma lat około 50, poza pracą społeczną nie zajmuje się niczym, przestał być dyrektorem. Dlaczego?

Przy szklance dalmatyńskiego dingaca łatwiej się rozmawia. To właśnie wtedy padło: — nie mam szkoły, a ci młodzi lepiej potrafią rozwiązywać zagadki nowoczesnego rynku i produkcji.

W czasie pobytu w Jugosławii niejednokrotnie spotkałem się z grupą ludzi, którym śmiało można nadać miano menażerów. Wykształcenie, o głębokiej wiedzy technicznej i ekonomicznej. Młodzi, najwyżej lat 40-45. To bynajmniej nie „elita władzy” jakby chciał amerykański socjolog Mills czy też dżilasowski „nowa klasa”. To ludzie ściśle związani ze społecznym gruntem, z którego wyrósł, wychowankowie tutejszych lub zagranicznych wyższych uczelni. Zresztą ich działanie ściśle związane jest z mechanizmem rozbudowanej samorządności, która niekiedy przeraża przybysza z nad „dyrektywną” Włsy. Rada robotnicza ma w swoim ręku wszystkie nieliczne zarządzenia i kierowania przedsiębiorstwem. Stanowisko dyrektora to nie przydział któregoś z ministerstw, ale konkursowy wybór, rywalizacja pomiędzy najlepszymi, ze stałym przeświadczeniem, że może

stracić swoje menażerstwo, jeżeli twój zakład i jego wyroby nie będą tanie, dobre, nie będą kupowane, jeżeli robotnik wyjdzie z tzw. gotą pensją i nie będzie miał zagwarantowanych owych 50 czy 60 tysięcy dinarów.

ZAPOTRZEBOWANIE NA POLSKĘ

W Belgradzie — pani Vera Mitrović, lektor języka polskiego na tutejszym uniwersytecie opowiedziała mi taką autentyczną historię: We wrześniu tego roku przed inauguracją wykładów na Uniwersytecie Belgradzkim dziekan Wydziału Slawistyki musiał „zadziałać” wobec studentów „po linii administracyjnej”. Po prostu wszyscy chcieli zapisać się na lektorat języka polskiego „dyskryminując” w ten sposób inne słowiańskie nacje.

W Jugosławii jest wielkie zapotrzebowanie na wszystko, co jest polskie. Przede wszystkim istnieje wielkie zapotrzebowanie na kulturę w najszerszym słowa rozumieniu. W Lublanie rozmawiałem z panem Urosem Kragerem, który jest tłumaczem literatury polskiej w Wydawnictwie „Mladinska Kniga”. Powiedział mi: „W pustyni i w puszczy” Sienkiewicza traktuję się u nas jak naszą książkę. Nie mniej popularne są pozycje Janusza Korczaka, Igora Newerly...

Wcześniej jeszcze w Belgradzie znalazłem w gazecie wzmiankę: „Belgradzki Teatr Dramatyczny zainaugurował sezon teatralny premierą sztuki Sławomira Mrożka „Tango”. Może warto tutaj dodać, że właśnie to samo „Tango” miało światową premierę nie gdzie indziej tylko w teatrze w Nowym Sadzie, gdzie gościnnie reżyserował spektakle także nasz Kazimierz Dejmek.

Zresztą wystarczy przejść się ulicami Belgradu, Zagrzebia czy Lublany. Przystanę przed witrzynami księgarni. Niezawodnie znajdziemy tam książki w języku serbskim — dzieła Marii Dąbrowskiej, Iwaszkiewicza, Rodziewiczówny, a także „Traktat o dobrej robocie” Tadeusza Kotarbińskiego. Chyba jednak największe zainteresowanie wywołuje nasza młoda literatura, pozycje takich twórców jak Tadeusz Różewicz, Ernest Bryl, Marek Nowakowski czy chociażby nasz łódzki Andrzej Brycht, nie mówiąc już oczywiście o Sławomirze Mrożku. Czasami dzieła naszych literatów wywołują tutaj spóźnione echa naszych polskich dyskusji. Mówiono mi np., że sztuką Lutowskiego pt. „Ostry dyżur” wystawiona w teatrze w Ziranie, wywołała takie zainteresowanie wśród odbiorców teatru, że długo nie schodziła z afisza, a robotnicy miejscowej fabryki zwrócili się do przedstawicieli miejscowej organizacji Związku Komunistów Jugosławii o urządzenie wielogodzinnej dyskusji na temat problemu postawionego przez Lutowskiego, problemu ludzkiego i jakiego politycznego: czy bezpartyjny lekarz z przeszłością może operować zasłużonego działacza politycznego...

Mamy więc wiele spraw wspólnych i łączników, które często są takie same w odczuciu ludzi z nad Wisły i z nad Sawy i Dunaju. Stąd też tak często na odległe Polak chętniej tutaj powiedziec już po serbsku — „dowidzenia”!

KRZYSZTOF POGORZELC

HELIKOPTER dla ŁÓDZI

Dalszy ciąg ze str. 1

Łódź nowoczesnej. Nareszcie dotarli do nas echa corbusierowskich wizji mieszkaniowych. Gapił się więc wszyscy na stylowe, pełne prostoty bryły współczesnej architektury. A bockiem, bockiem... z drugiej zupełnie strony, podpełzały pod miasto w sposób niezauważony budo-chalupa. Wykorzystano moment nieuwagi, zaabsorbowania czym innym. Tymczasem te obiekty potworzyły już całe dzielnice. I stoją. I nikt już tego nie ruszy, choć na szerokim froncie przekroczono granice tolerancji.

To rezultat polskiego indywidualizmu — powie zwolennik bardzo sztywnych i rygorystycznych struktur państwowych.

Pewnie, że skłonność do anarchizmu to my już mamy. Wiadomo. Ale żeby aż do tego stopnia? Narodowymi cechami nie można zresztą tłumaczyć wszystkiego. To byłby nonsens. W Poznaniu budują inaczej, a nąród ten sam. Włec może warto by w pierwz zapytać kto buduje w Łodzi, z czego i według jakich koncepcji?

Budownictwo domków jednorodzinnych ruszyło na szerszą skalę dopiero po 1955 roku. Od tego czasu zaczęło przybywać po kilkadziesiąt prywatnych domków rocznie. Budowali lekarze, adwokaci, technicy, eksperymentaliści, tak zwana inicjatywa i robotnicy. Budowali wszyscy, jako że i kredyty były zapewnione. Nie jest zresztą ważne, kto buduje, lecz gdzie buduje.

Wykładnikiem statusu jest cena wyjściowa. cena parceli.

Za m² parceli budowlanej płać się od 30 do 100 złotych. Był taki czas, że za m² działki koło Radiostacji żądano 150 złotych i uzyskiwano te cene. Teraz do głosu dochodzi Julianów. Zbyt tanio nie można. Nawet zwyczajny pustak-czworak o czterech izbach i komorowym dachu lubi pochłonąć te 150.000 ostryków. Piętro z piwnicą na dodatek nożną drugie tyle. Wyliczenia są jednak trudne. Co innego koszty, co innego życie, które chadza cicho i własnymi drogami. Ludzie budują sami.

Biora do pomocy faceta — złotą rączkę. Rączka zna się na murarce, na cieście, dach założy, pokoje wymaluje, piec ustawi,

komini doszukuje, kran wkreci, centralne zmontuje. Rączka jest od tego, żeby znać się na wszystkim. Za to jej płać. Złote rączki są niemiernie. To one majstrują nam odpustowe jelenie i przedmiejskie czworaki. Na przedmieściach budują się przede wszystkim wychodzący ze wsi w pierwszym pokoleniu. Budując się, przenoszą na miejski grunt wiejskie obyczaje.

Stawiają czteroizbowe, piaskie czworaki. Żeby chociaż jakiś kwiat w ogródku, jakas jabloniczka, która by przykryła liśćmi liszaje na ścianach, żeby choć trochę zieleni. Nic z tych rzeczy. Domki stoją luźno na wygłazdowie i straszą. Inna sprawa, że architekt chciał jak najlepiej. Zaprojektował nowoczesnie. W miarę skromnie, w miarę z wygodami. Inny widział dom na rajbrecie, inny zobaczył na polu. Do działki zabrał się przecież podmiejski partacz. Na plan tylko zerkał. Co tam plan. Tu się znie, tam doda, w innym miejscu spłaszczy, lub poszerzy i rodzi się nam potworek budowlany, stawiany nie według rysunku lecz według krzywego oka, że tylko zębami zgrzytać.

Najgorsze egzemplarze przykuły na linii Konstantynów, Lutomiński, Aleksandrów.

A może materiałów brak? Nie, dostęp do budulca dziś łatwiejszy niż dawniej. O naprawdę dobry materiał wciąż jednak trudno. Gdyby było łatwo nie rozbierano by ubiegłowiecznych kamieni przy Zachodniej z takim pietuszem, jakby chodziło o świątynię w Pergamonie, która potem złożono w kaiserowskiemu muzeum berlińskiemu. Przyznam, że przez długi czas nie mogłem tego wszystkiego p-jać. Spoglądałem w osłupienia na grupkę ludzi, którzy lupali mury starych czynszówek z zachowaniem maksimum ostrożności. Cegielkę spuszczano po cegielce, aby broń Boże niczego nie uronić. Przecież to musiało kosztować, taka robota. Kto za to płać? Teraz jestem mądrzejszy. Dowiedziałem się, gdzie zlozisz pogrzebany. Właśnie w tych starych ścianach. Przedsiębiorca z żyłką sprzedaje 1000 cegieł z rozbiórki po 800-900 złotych. Bierze tyle co za nowa cegła. A z jednego budynku przy Zachodniej spuszczone w dół po deszczkach pół miliona cegiełek.

Dobry interes? Jeszcze jak.

Domek zbudowany z zużytych, oblepionych cegieł nie lśni czystością — to chyba jasne. Gdyby rzucono nieco tynku na ściany, byłoby pół biedy. Ale rzuca mało kto. W ogóle główna trudność nie polega na wykryciu źródła materiałów budowlanych, lecz na transporcie. Czym przewieźć żwir na miejsce budowy? PKS zajęty, nie ma wolnych terminów, PKS nie daje rady. Ma ważniejsze sprawy na głowie niż kilka metrów żwiru po 8 złotych polskich. Człowiek rozgląda się przez te jakas pustą wywrotka. Właśnie taki wózek! Jedzie, truchciakiem Narutowicza. Hej, kolego, żwir jest do przewiezienia. Czy kolega nie chciałby zarobić? Kolega — szofer drapie się za uchem, medytuje, rozważa. Zona stale do-

gaduje, że inne chiopy są bardziej zaradne. Psiakrew, raz kocznie śmierć. Kierowca decyduje się na lewy kurs. Co za pech. Na rogu podnosi rękę milicjanta. Proszę papiery. Czyj to ładunek? Ach tak...

Jeszcze jedna wyspa — leci potem fama przez miasto, że kto buduje, ten obowiązkowo złodziej.

Łobuz. Powinęła się im noga i teraz capnęli ich za żwir. Dobrze draniom. Już ich tam wyprostują. Prostować nie ma kogo. Większość tych co się budują to zwykli sobie śmiertelnicy, zamożni i mniej zamożni. Różni. Ejże, a te wille na Julianowie i koło Radiostacji, to co? Tych wili nie jest znowt tak dużo, choć głównie one koła ocy. Na 100 czterozobowych domków jednorodzinnych przypadają w Łodzi średnio 2 budynki piętrowe, bardziej okazałe, o wyższym standardzie. Czy jest zresztą coś w tym złego, że ktoś za własny grosz stawia sobie wille?

Człowiek prawdopodobnie nigdy nie stanie się istotą całkowicie stałą.

Jakiś margines na indywidualizm zawsze pozostanie. Czy zresztą komunikówek o to chodzi, by wszystkich bez wyjątku włożyć w duże bloki koszarowe? Czy to było kiedykolwiek celem samym w sobie? Najważniejsze by zaspokojenie indywidualnych dążeń nie stało w sprzeczności z interesem społecznym. Jakaś to może być sprzeczność, jeśli jednostka dysponująca funduszem buduje dom dla siebie i rodziny? Niech buduje. Najokazalsza nawet willa to jeszcze nie środek produkcji. To jedynie środek prywatnego zaspokojania własnych potrzeb. I nie więcej.

Przy tym jednostki twórcze potrzebują ciszy, jak powietrza.

Człowiek piora, cyrkiła, pięciolinią umiera w halasie. W Elmdalii ustawowo zabroniono podjeżdżania samochodami do wili, w której tworzył Sibelius. Ładnie by Einstein wyglądał, gdyby mu kazano myśleć w bloku na Kuraku. Niech już profesor mieszka u siebie, na uboczu, w apokaju. Powinien. To leży w interesie społecznym, by tworzył. By mieszkał z dala od wielkomiejskiego jaggotu. Niech znakomity chirurg odpoczywa po szarpiacej nerwy, wielogodzinnej operacji. Dla twórczych jednostek przebywanie poza miastem we własnym domu nie jest luksusem. Jest życiową koniecznością.

Budownictwo indywidualne przeżywa jednak pewien kryzys.

Do tej pory w jednej tylko dzielnicy Górna, budowano rocznie 120 domków jednorodzinnych. W tym roku pozwolenie na budowę otrzymało 4 sześciokątów. Pozostałym odmówiono. Gwałtowny spadek budownictwa indywidualnego obserwuje się też w pozostałych dzielnicach. Cały szkopol w tym, że już obowiązuje ustawa o wyznaczeniu terenów budowlanych. Takich terenów nie zdążono jeszcze w Łodzi wy-

kreślić ołówkiem na mapie. Trwają wciąż konsultacje i narady na szczeblach różnych i bez rezultatu.

Słyszysz, że bardzo uaktywniły się również wydziały finansowe. Delikwentów biorą z miejsca na tapetę.

— Wiemy, że obywateli, zwiózł już cegłę, skąd gotówka?

Wielu rezygnuje z budowy już po pierwszym maglowaniu. Panie, po co mi to potrzebne? Do czarta z tym wszystkim. Lepiej już wydam gotówkę na objazd śródmiejskich portów... A może w gruncie rzeczy dobrze się stało, że budownictwo indywidualne straciło rozpęd? Przecież to podmiejskie domki tak czy owak po większej części były niewykorzystane. Przypomina się anegdota o królu i Cygance. Król spytał Cygankę co ma robić, żeby każdy dzień przysparzał mu chwały i kończył się pomyślnie. — Wasza Królewska Mość powinien zawsze wstawać z łóżka prawą nogą — odpowiedziała Cyganka. — Król niewiele myślał, kazał sobie odciąć lewą nogę. Domki jednorodzinne? Po cóż nam one. Lepiej już się od nich odciąć i Łódź nam od razu wypięknie, jak ta lala malowana.

Miejmy nadzieję, że mądrzy ludzie miasta Łodzi w końcu się popapia, że tak nie można, bo czas nie te.

Łódź ma swoją specyfikę. Nigdy jak Kraków, czy Gdańsk nie była odgródzona murem. Nigdy nie istniała wyraźna granica między wsią i miastem. Tej granicy nie ma po dziś dzień. Przy Piotrkowskiej wciąż trzymają się ziemi kłackie czworaki wiejskie. Nie badamy zresztą zbyt głęboko przyczyn. Jednorodzinne domki w ogródkach, oddzielone od ulicy żelaznymi prętami, stoją w Paryżu, Berlinie, wszędzie. Są częścią miejskiego krajobrazu. Są też wykładnikiem pewnej jakości. To miejsce, w którym miasto niepostrzeżenie zbliża się do wsi nie tracąc jednak swego charakteru. Dlatego „jednorodzinność” są czymś dla Łodzi. Kto sam buduje, pomaga przecież nie tylko sobie. Pomaga w gruncie rzeczy też państwu.

Nie odcinajmy nogi dlatego, że lewa.

Istota całej tej kwestii leży na całkiem innej płaszczyźnie. Chodzi o to, by lewa noga nie różniła się zbyt od prawej. Budujmy domki czyste, schludne, budujmy je z poczuciem estetyki i piękna. Nie wierzę, by nas nie było na to stać. Nikt mi tego nie wmówi. Z tych samych cegieł można postawić rudere i strzelisty budynek o harmonijnych liniach. Takich domków też nie brak. Stoją przy szosie do Ksawerowa. Dlatego mimo wszystko obstaję przy helikopterze. Helikopter prawdę ci powie. Można mu zaufać.

JAN BABIŃSKI

MAŁPI Gaj

Na swoją knajpę Dzikie mówi: „Małpi Gaj”.

Dzikie jest saksofonistą altowym, znanym kiedyś w Łodzi, jak Paul Desmond w Nowym Jorku. Nowy Jork zapomniał o Desmondzie pod zasięgiem gitarowych strun. — Łódź zapomniała o Dzikim już dawno.

Pewnego dnia Dzikie zapomniał sam o sobie. Zapomniał, że nazywa się Dzikie; zaczął grać spokojnie, cichutko, pieszczotliwie wykańczając frazę, przestał natomiast razić ludzi ostrym dźwiękiem.

Wyszło to Dzikiemu na dobre: spodobało się partnerom, ucieszyło kierownika „Małpiego Gaju”, co zawsze ostrzegał muzyka.

— Graj spokojnie, cichutko, bo inaczej stracisz pracę. Tu jest lokal, a nie małpi Gaj.

Niedawno jednak Dzikie znowu zrobił skandal: Odżyła w nim wilcza natura.

Północ wówczas była i pijany dym błąkał się po ścianach a ludzie przy stolikach zaczęli ziewać. On dmuchał ospale przebrzmiałe standardy — „Goody Goody”, „After you've gone”, „Silent Night”. I dmuchałby tak do końca, do zamknięcia lokalu — obojętnie i leniwie — ale...

wtargnął na salę jakiś Anglik w towarzystwie Polaka-poligłoty. Anglik był gruby — Polak chudy, Anglik po polsku podchmielony — Polak po angielsku sztywny. Prowadzili z sobą taką mowę:

— Are you enjoying the concert? — to Polak.

— Quite good...
— Which of the solo players do you find most remarkable?

— The most interesting players seem to be the pianist and the bass player — zapiniował bez wahania gruby Anglik, i Dzikiego, który nieco znał angielski — trafił szlag. Wszedł na scenę, długo i starannie ślinił stroik, skreślił go później z ustnikiem (ustnik miał stary, własnej roboty, mocno wyszczerbiony przez zęby) i dmuchnął leciutko w saksofon pierwsze takt z „Shoe Shine Boy...”

Na drugi chór wjechał szeroki, zwirowany glissem. Rozkręcał się. Góra. Dół. Chrypa na stłamszonych kłapach i szablonowy riff przez osiem taktów.

Trzeci chór grał głośno i chaotycznie — oczy miał zamknięte, więc nie widział, że pary na parkiecie zamaryły w bezruchu, a wyrwani z odrętwienia kelnerzy tną go w twarz ześlonym wzrokiem.

Czwarty chór był kłeską Dzikiego. — Wpadła na scenę bufetowa, krzyknąć zaczęła, przystępować nogą, szarpała przy tym muzyka za kłapy pocieszonego klezmerskiego fraka, aż urwał wreszcie, w półowie, natchniona solówkę i... otworzył oczy. Wtedy.

wtedy zauważył, że na scenie jest sam z bufetową, że reszta orkiestry rozproszyła się po sali podobnie jak pary z parkietu. Gdzieniedzie wytykano Dzikiego palcami.

— Warlat.
— Nietoperz.
— Idiota.

Rozejrzał się wokół, ale Anglika i Polaka-poligłoty już nie było.

2.

Dzikie, jak każdy nocny muzyk, cierpi na bezsenność. Idzie spać o trzeciej, czasem o czwartej nad ranem. Budzi się skoro świt i zapala papierosa. Potem wypija szklankę cienkiej herbaty i do dziesiątej zwija ciało na setki różnych sposobów, aby zapasć choćby w płytką drzemkę. Niczego.

Na miasto wychodzi przeważnie o dwunastej. Do lasu wilki ciągnie; zaczyna wędrowkę po lokalach. Grand, Łódzianka, Egzotyczna, wpadnie także „Pod siódmą” na kawę, odór papierosów spłucze.

Do sześćdziesiątego roku Dzikie ćwiczył. Codziennie dwie godziny. Grał z nut pasażów i gamy, ciągnął długie dźwięki „na ton”, pracował nad wibracją. Marzył o karierze, o wyjazdach zagranicznych i złotym saksofonie marki „Conn”. Ale los krzywdził uparcie Dzikiego, pomijał. Wyjeżdżał inni, gorsi; przywozili instrumenty i ortalionowe pelerynki, snuli barwne opowieści o dalekich krajach i słodkich jak bombonierki spelunkach, gdzie za jeden wieczór leciało dziesięć dolarów na głowę, dziesięć dolarów na muzyka... Dzikie słuchał i przetykał z podniecenia ślinę, przykro mu było.

Ale wciąż jeszcze wierzył, że karta na którą postawił w końcu wyjdzie...

Postawił niemało. Naprzód wyrzucił go z uczelni, z trzeciego roku Akademii Medycznej, bo opuścił się w nauce, wagarował, dmuchał w blachę na weselach i chrzcinach, w knajpach i na szkolnych zabawach — zamiast śleńczy nad książką.

— Wygram — mówił rodzinie, co widziała w nim lekarza. — Byle klezmer więcej dziś zarobi niż najlepszy neurochirurg.

Potem, jako dwudziestopięcioletni mężczyzna ze zwodniczym napisem w dowodzie: „muzyk” — rozwodził się z żoną i z dzieckiem płacił alimenty.

— Przegrałaś, pożaluj się — śmiał się żonie w oczy po rozprawie. Żonę i dziecko bardzo kochał i wcale nie chciał rozwodu;

żona, z kolei, nie chciała męża-klezmera. Mówiła przedtem:

— Możesz sobie grać, śpiewać, ćwiczyć — ale weź się do jakiejś pracy. Tłucz kamienie i zarób — słowa ci nie powiem. A ty, co? Dwie chałtury na miesiąc podłapiesz, połowę z tego przepijesz; spodnie wypraszaj, koszulkę wypierz, bo pan artysta wyglądać musi... Do czego to podobne?

Tyle właśnie Dzikie postawił na muzykę. Odważnie, niby pokerzysta z workiem pieniędzy i wrodzoną zdolnością do bluffu.

No, pewnie, szkół muzycznych nie kończył, samouk... ale swoje racje miał... Armstrong nauczył się grać w domu poprawczym, Charlie Parker, w szopie wiejskiej wygrywał progresję, a gdy przybył wreszcie do Chicago — ludzie stawiali na głowach... Pewnie, swoje racje miał; nie szkoła a zdolność, zresztą — praktyka wykazała, że mało który akademik umie zrobić tango albo walca albo najprostszą bequinę nie mówiąc już o improwizacji — statystyka zaś poucza, że najlepsi z lokalowo-estradowych muzyków nie wspólnego z dyplomami nie mają, przeciwnie, pogarda darzą stare, skostniałe metody szkolnego nauczania.

W szkołach belfrowie gromią chłopaków:

— Nie grajcie na zabawach. To manie-ruje.

W knajpach i na estradach kierownicy taneczno-rozrywkowych zespołów śmieją się w kulak ze „szkolnych” adeptów:

— Zaraz widać, fujaro, żeś pół życia stracił nad pulpitem. Co to za podział? Co to za staccato? To jest, bracie, tango; to nie jest etiuda!

nie ma dla niego — dla tysiąca takich — odpowiedniej pracy. Może uczyć, może przygrywać na lekcech rytmiki, może — od biedy — występować w kawiarniach jako taper. Lecz to wszystko mu ubliża. On miał zostać wirtuozem-solistą. Tatuś przyrzekał i mamusia. Sławny miał być i bogaty...

Zostają jeszcze lokale. Pogardzane jako miejsce pracy (fuj, Wacuu, nie rób wstydu rodzinie) choć płacące przyzwicie. Dużo ich. Wciąż więcej i więcej. Lecz muzyk jazzowy nie podrobi cygańskiego czardasa, a absolwent szkoły, nauczony grać „klasycznie”, knajpłowego tanga... Toteż gdy się czasem złamie i zawita w niskie progi, podają mu czarną polewkę:

— Zaraz widać, fujaro, żeś pół życia stracił nad pulpitem... — i tak dalej.

Dzikie — jako się rzekło — ćwiczył do roku 1960. Lato tego roku było dla niego feralne. Już, już... pachniał mu Balaton, już o paszport z nadzieją się starał, wreszcie jednak zastąpił go inny klezmerzyna i Dzikie został na łodzi. Spłunął wówczas trzykrotnie, rozrót postanowił wziąć z muzyką. Przegrał jeszcze sezon w Szczecinku, by nie tracić stóńca. Była w tym Szczecinku małeńka wysepka, na której pomyslowy cwaniak zbudował z desek lokal jak się patrzy a nazwał go egzotycznie, Taiwan. Taiwan otaczało kilka budek z sianem... nie bardzo prywatnych. Cwaniak trafił z tej przyczyny do więzienia i sezon Dzikiego skończył się niespodziewanie już w lipcu. Bez grosza w kieszeni, samotny, zniechęcony, wrócił do Łodzi i włóczył się ze spuszczone głową po słonecznych ulicach pracy szukając. Szwagier chciał wypuścić mu tak-

wach zssarzała. Spotkali się dwaj kole-dzy.

— Latem, bracie, nie ma jak morze — nalegał Dzikie na Fafloka. — Podpisz kontrakt do Miela i jedziemy.

— Czemu nie... — powiedział Faflok.

Ale cwany był i pomyślał: „Jak ty, bracie, do Miela pojedziesz, to mi kaktus na łapie wyrosnie. Igora wezmę, bo jest tańszy i zarobię na nim swoją dolę”.

I zarobił. Młody, naiwny Igorek dmuchał za pół gaży dobroczynnie po rękach całując, Dzikie zaś w tym czasie bruki w Łodzi szlifował, na pech, rozgoryczony, narzekał.

W drugiej połowie lipca Dzikie zabrał się ostro do nauki. Wczytał w gazecie, że Dziekanat Akademii Medycznej pragnie dać szansę tym, co z uzasadnionych przyczyn przerwali kiedyś studia i przyjmuje zapisy na egzaminy sprawdzające.

Trochę pracy nad chemią organiczną, kilkanaście dni nad podręcznikiem anatomii, trochę szczęścia i... kto wie, może za miesiąc znowu być studentem drugiego, nawet trzeciego roku — myślał Dzikie, altowy saksofonista, w chwilach odpoczynku, po nauce.

Jednak stało się inaczej. W końcu sierpnia otrzymał telegram z Karpacza od Ignacego Kowalskiego, trzeciorzędnego gitarzysty. Ignac pisał krótko: „Dwa i pół stop Knajpa Bomba stop Cizle klif stop Czekamy.” „Przyjeżdżam” — odelegrafował. Nawet się nie wahał. Myślał, że docięty się chemii w Karpaczu.

Ale... Dziś, kiedy Dzikie smutny niestęchanie sunie ulicami miasta, kiedy wysiaduje godzinami nad szklanką wystygłej kawy lub szturmuje bar w podrzędnej restauracji — wspomina tamte chwile, dni, miesia-



Fot. W. Piątkiewicz

Dzikie swoje racje miał. Do szkoły muzycznej nie poszedł. Po co? Żeby później gnić w Operze, albo tuczyć brzuszkiem w Filharmonii? Żeby ślepić przez okulary na drobny zapis nutowy i dojechać tak emerytury? Nie, dla Dzikiego muzyka — to ruch — brawa, okrzyki, jupiter, tuście nazwisko na afiszu i wielkie zdjęcia w gazecie.

Co innego, gdyby w szkołach były katedry muzyki rozrywkowej. Wówczas Dzikie by nie zwlekał. Ale takich nie ma, nie było, nie będzie — owszem, w Nowym Jorku i Londynie — w Łodzi? Ha, ha. W Łodzi: nie! W ogóle zdaniem Dzikiego — szkół jest stanowczo za dużo. Absolwentów produkują całe setki — a miejsc wolnych w czcigodnych filharmoniczno-operowych placówkach brak. Trzeba czekać, aż zabiją żałobne dzwony i... Brrr, biedny stary trębacz i flecista. Niech im ziemia... Dwa etaty jednak zostawił w spadku: tłoczą się młodzi, rozpychają łokciami, a ci, co odejdą z kwitkiem, spoglądają zaczyna łakomie na siwą głowę fagocisty.

— Następnym do raju — zaszeptają łakomczuchy. — Następnym.

Najgorzej jest z pianistami co — z rozkazu rodziców — wbrew logice, koniunkturze i predyspozycji — pokończyli artystyczne studia. Przykuwa się takiego sześć-cioletniego brzdąka do krzeselka, niech bębni skłono godno, po pięć godzin dziennie, może z niego będzie Paderewski. Brzdąc dorasta. Zaczyna w siebie wierzyć, sodową z wolna łapie, śni o Filharmonii Narodowej, o estradach zagranicznych. Białe kołnierzyki, peki kwiatów, itd.

Jak takiemu później wytłumaczyć, że

sówkę, Moskwicza, co go wygrał na konkursie PKO. Dzikie bardzo się zapalił, kurs samochodowy skończył, zawodowe prawo jazdy miał otrzymać i rozpocząć w zakładach praktykę. Grał coraz rzadziej, ćwiczenia zaniedbał, przekwalifikowywał się stopniowo. Wtem...

Zimą to było, śnieg puszysty sypnął, domy pod nim wyglądały niby góry. Faflok przyniósł pół litra (Faflok gra na kontrabasie) przepił ostro do Dzikiego i przemówił:

— Podpisałem kontrakt trzymiesięczny z Gubalówką. Zimą, bracie, nie ma życia bez gór. Zakopane, hotel, trzy i pół patyka z bokami, chcesz — możesz jechać.

Rzucił wtedy Dzikie szwagra, machnął ręką na Moskwicza, wziął saksofon pod pachę i czmychnął. Kiedy wrócił — powie-dzieli mu w rodzinie, że zniechęcony szwagier sprzedał auto miesiąc po jego wyjeździe, że jest bardzo zagniewany.

— Nie szkodzi — skwitował to Dzikie lakonicznie. — Ja jestem artystą, nie szoferem.

Znowu długi łańcuszek lokali. Miesiąc tu, kwartał tam. Raz chałtura, raz wesele. Arkadia, Casanova, Sim, Tivoli — na etacie lub w zastępstwie, od przypadku do przypadku. Nie ćwiczył jednak. Jechał na zapasie. Płyty i taśmy poszły w zapomnienie. Dawny entuzjazm do jazzu wypalił się do szczytu. Granie dla „sztuki” na próbach i jam’ach uważać zaczął za głupotę.

— Money — twierdził, jak starzy, wykruszeni cwaniacy z estrady. — Liczy się tylko money.

Przyszło lato sześćdziesiątego pierwszego. Upał skwasił duszne miasta, zieleń na drze

ce, lata, z rezygnacją...

Próbował jeszcze wiele razy. Śladywał na krótko za biurkiem, w kinie na bramce stawał, pilotował wycieczki zagraniczne, kierował świetlicą, składał egzamin do orkiestry radiowej...

Oj, Dzikie, Dzikie, zawsze w końcu wracałeś na dechy. Taka już twoja natura. Zle ci w knajpie, bez knajpy jeszcze gorzej, magnes w sobie nosisz do muzyki. Żyjesz trzydzieści dwa lata — z tych połowę z saksofonem w zębach niby palacz z niedołączoną fajką: dym grył go w usta, ciepła ślina poparzyła język, potem kopciuch wygasał, ostygł i zwilgotniał, a on ciągle w szczękach ścisła skraj ustnika.

* * *

Brzokliwy wieczór w restauracji Małpi Gaj. Dzwonią szklanki, bulgoczą kieliszki, dym pijany błąka się po ścianach.

Ludzie tańczą leniwie na parkiecie — Dzikie gra. Spokojnie, cichutko, jak pan szef przykazał, żeby pracy nie stracić...

Myśli Dzikie w przerwach o chałturze, nad Sylwestrem głowę łamie. Jest niepewny swego jutra — on i setki takich jak on: bez innego zawodu, bez dyplomów.

Potem znowu dmuchnie w starą blachę, spokojnie, słodkavo — szef tak każe, sługa musi.

Ale może się zdarzyć — po kieliszku i nagłym wspomnieniu — że się Dzikie na chwilę poderwie. Zacznie wówczas wibrować, tłamsić kłapy, konstruować zawrotne pasaż: skaleczony oddech puści z czary...

Zamknie wtedy oczy i młodość powróci. Na chwilę.

PAMIĄTKA PO BOHATERZE

Bożenę budzi dzwonek. To Jurek wraca na obiad. A ona jeszcze nie przygotowała. Uświadamia sobie natychmiast, że to nie Jurek. I że Jurek nigdy już nie zadzwoni. Bożena niechętnie podnosi się z łóżka. Idzie wolno do drzwi. Otwiera je. Przed nią stoi jakaś kobieta. Trzyma za rękę chłopca. Bożena nie przypomina sobie skąd zna tę kobietę. Gdzieś ją niedawno widziała, ale gdzie? Chłopiec ma lat dziewięć, może dziesięć. Patrzy wylekionym wzrokiem.

— Ja do pani... — mówi przybyła i wchodzi nieproszona do korytarzyka, pociągając za sobą chłopca. — Ja do pani... bo wtedy... „Wtedy?” Teraz Bożena przypomina sobie. To było na cmentarzu. Podczas pogrzebu Jurka. Ta kobieta podeszła do niej i składała kondolencje. Dziękowała także za uratowanie syna. To przecież nie Bożena uratowała chłopca, tylko Jurek. Więc Bożena odpowiedziała jej właśnie coś w tym sensie. Czego ta kobieta jeszcze od niej chce?

— Przywitaj się z panią — mówi przybyła do chłopca. — Przywitaj się. I podziękuj! Ta pani, to żona tego pana, co uratował ci życie. Skoro jemu nie możesz już dziękować, to przynajmniej pani.

Chłopczyk kłania się. Chwyta rękę Bożeny i przycisną do białych małych ust. Bożena czuje na ręku oślepłą wilgoć pocałunku. Wyrzywa dłoń. „Nie trzeba — mów — nie trzeba”. Zaprasza do pokoju. Kobieta siada przy stole. Rozgląda się po mieszkaniu. Chłopiec stoi przy kobiecie. Jest chyba teraz jeszcze więcej zalekiony niż przed chwilą. I on się rozgląda. Bożena siada również przy stole, naprzeciw przybyłej.

— Wtedy na cmentarzu — mówi kobieta — to ja byłam sana. Mąż był chory, a malego nie chciałam brać na taki ziąb. Po tym wypadku miał kaszel...

Przez tego chłopca zginął mój mąż, myśli Bożena. Kobieta zamilkła i Bożena milczy. Chłopiec przestępuje z nogi na nogę.

— Ładnie tu macie — mówi po chwili kobieta i natychmiast poprawia się — ładnie ma pani tutaj. Mieszkanie, owszem. Nie można powiedzieć. Kwiaty, telewizor. Meble też ładne, nowe. Pewno na raty? Pokój tylko jeden? I kuchnia jest? No, tak w naszych czasach nie od razu stać na większe mieszkanie. Ale pani młoda, ładna, wydajcie drugi raz zamaż. A jeszcze ta nadgródka. Pomyślał że są jeszcze na świecie bohaterzy. Inny zrobiłby tak? Przecież by nie zrobił. A niech się dziecko topi. Niech tam matka oplakuje syna.

— To pani jedynak? — pyta Bożena. — Ależ skąd! — zaprzecza energicznie kobieta. — Jeszcze troje w domu.

Jest tego, jest. Aż za dużo. Żyć trzeba, ubierać trzeba. A z czego ja się pytam? Pani nie wie jak to jest, bo pani nie ma dzieci. A to ciężko, ci, ciężko!

„Czy ta kobieta przyszła tu po to, aby mi powiedzieć jak jej ciężko z czworogim dzieckiem?” — zastanawia się Bożena.

— Ale pani maż to był odważny człowiek — ciągnie przybyła. — Jak tylko pomyślał, że Stefanek krzyczy, to zaraz buchał do stawu. Łód cienił. Mówiłam dzieciakom, nie bawcie się przy stawie. Ale pani wie jak to z dziećmi...

— Nie wiem. Nie mam dzieci — mówi spokojnie Bożena.

— Bedzie pani wiedziała. Bedzie. Jak pani wyjdzie jeszcze raz zamaż, to pani zobaczy. Więc ja siedzę sobie na ławce, a tu najmłodsza Marysia co ma dwa latka, zaczyna płakać, że chce siusia... To ja nie mogłam uważać na Stefanka. Poszłam z nią niedaleko, ale musiałam pójść.

Bożena wie, że ta kobieta kłamie. Według relacji naczynych świadków matka Stefanka siedziała wtedy na ławce i zagadala się ze znajomą. Dzieci zaś bawiły się piłką nad stawem. W pewnym momencie Marysia kopnęła piłkę, która potoczyła się po lodzie na sam środek stawu. I wtedy ten chłopiec, który stoi teraz przy stole, rozpedził się i na podeszwach, jak na tyżwach, podjechał do samej piłki. Wtedy łód pękł. Chłopiec wpadł do wody. Chwytał się krawędzi kry, ale łód zalał się wodą. Główna chłopca zniknęła pod wodą. I wtedy jakiś mężczyzna rzucił się do stawu. Łód pękł mu pod stopami, więc mężczyzna położył się na nim i dobrał aż do chłopca. Wyciągnął go z wody i włożył na brzeg. Wreszcie zdołał wyrzucić na nieco grubszy łód. Ponieważ w tym czasie nad stawem zrobiło się zbiegowisko, ktoś rzucił chłopcu dwa szalik zawiązane razem, jak linę. Chłopiec chwycił szalik i przyciągnął go na brzeg. A mężczyzna wtedy właśnie utonął.

To był Jurek. Ta kobieta, która siedzi teraz naprzeciwko Bożeny strasznie wrzeszczała. Gdyby nie to, może ktoś zwróciłby uwagę na tonącego Jurka. Ale ona wrzeszczała. I gdy zorientowano się, że ten co uratował życie chłopcu, sam dostał się pod lod, było już za późno. Próbowano Jurka „atować”, ścignęto łódkę z drugiego brzegu stawu, ale wydobyto już nieżywego. Potem przynieśli Jurka. Bożena czekała na niego całe popołudnie. Nie wiedziała dlaczego nie wraca. Wrócił, ale martwy. Jak się to stało? — myślała. Jak się to mogło stać?

I kiedy minal pierwszy straszliwy ból, gdy zmilkło echo pogrzebowych mów i przestano jej składać kondolencje, Bożena systematycznie, jakby badała zawity rachunek, na zimno, poczęła odtwarzać sobie okoliczności śmierci męża. Czy Jurek miał zadatki na bohatera? Zawsze był raczej nieśmiały i niezdeterminowany. W ciągu tego jednego roku pożycia małżeńskiego nieraz ją to na-

Fot. Witold
Piątkiewicz

wet drażniło. Przed każdą ważniejszą decyzją wahał się i długo namyślał. Radził się jej i wysuwał zwykłe takie czy inne obiekcje. Ale w tamtej chwili, gdy krzyk dziecka niosł się znowu zamarzniętego stawu, bez namysłu skoczył na ratunek. Czy możemy zawsze przewidzieć jak się zachowa najbliższy, zdawałoby się tak dobrze nam znany, człowiek? Nie mogła wyobrazić sobie Jurka w roli bohatera o szybkiej decyzji i natychmiastowym działaniu. A jednak... Więc okazał się w tamtej chwili nadstawem, prawdziwym bohaterem. Bożena nie może mu już wyrazić podziwu, bo bohaterstwo przypłacił własną śmiercią, ale jej podziw dla niego trwać będzie zawsze. I już na zawsze pozostanie w jej pamięci nie ten, jak poprzednio sądziła, cichy, dobry i łagodny człowiek, ale ten który nie wahał się poświęcić swe życie dla ratowania cudzego dziecka. Tak myślała przez te dni, które dzieliły ją od śmierci Jurka, aż do momentu gdy...

To było trzy dni temu. Wezwano Bożenę do rady zakładowej fabryki, gdzie pracował Jurek. Przyjął ją przewodniczący rady, starszy mężczyzna o sympatycznym wejściu.

— Poprosiliśmy panią, bo musimy załatwić niektóre formalności — powiedział na wstępie rozmowy. — Pani pracuje?

— Tak. Jestem nauczycielką.

— Widzi pani — powiedział po chwili, jakby namyślając się — niestety sprawa się komplikuje. Mam na myśli odszkodowanie. Oczywiście, nie można pominąć wyrównać straty jaką stanowi śmierć kogoś bliskiego. To rozumiem. Proszę mi więc nie brać za złe, że tak to określam. Mówię o komplikacjach. Komisja ustaliła, że pani mąż był w stanie niepełnosprawny. Wypłt z kolegami, potem wrócił do domu. Oczywiście, my stoimy na stanowisku, że należy się rodzinie odszkodowanie. Uratował przecież dziecko. Dokończymy wszelkich starań, trafimy, jeśli będzie trzeba do najwyższych instancji. Pani mąż miał u nas opinię zdolnego i doskonałego pracownika. Obawiam się jednak, że co do wypłaty tej sumy, może to trochę potrwać. Niestety, sekcja stwierdziła dość poważny procent alkoholu we krwi.

Bożena patrzy prosto w twarz przewodniczącego. Dostrzega w jego oczach współczucie, życzliwość, może nawet litość.

— A czy pan, panie przewodniczący, jest pewien — mówi — że gdyby nie ten procent alkoholu, mój mąż rzuciłby się na ratunek tonącemu chłopcu?

— Ach, taki? — wyrzywa się przewodniczącemu. Jest wyraźnie zaskoczony.

— No, tak. Istotnie, tego nikt nie brał pod uwagę. Więc pani wysuwa przypuszczenie, że gdyby nie wódka...

— Pan mnie nie rozumiał — odzywa się Bożena. — Chciałam tylko powiedzieć, że gdyby mój mąż nie pił wtedy z kolegami, to wróciłby do domu normalną drogą, nie przez park. Zawsze wracał inną, dłuższą, ale wolną ulicą. Kupował pisma, albo coś do jedzenia na kolację. Lubiał obejrzeć foty kinowe. A wtedy śpieszył się. Poszedł więc krótszą drogą, przez park i dlatego...

Bożena mówi nieprawdę. Jurek prawie zawsze wracał przez park. Przewodniczący namyśla się chwilę.

— Pragnę panią zapewnić, że dokończymy wszystkich starań, zrobimy wszystko co w naszej mocy.

— Pani! Ile też ja mam z tą dzieciarnią kłopotu. Jak pani wyjdzie drugi raz zamaż, pani sama się przekona. A nakarmić takie stadko, a ubrać! Oj! Nielatwo, nielatwo. A książki, zeszyty, wszystko trzeba kupić. Darmo nie dadzą. A za co kupić?

Bożena przygląda się mówiącej. Czego ona właściwie chce? Czy przyszła opowiedzieć jak jej ciężko z gromadką dzieci? A może chce dać Bożenie do zrozumienia, że byłoby lepiej gdyby Jurek nie ratował jej dziecka? Byłoby mniej gęb do żywienia?

— Mąż jak to mąż — ciągnie kobieta. — Ja tam nie narzekam, choć pani wie, jak sobie popije to trudno wytrzymać. Pani to przecież chyba najlepiej rozumie.

— Nie — mówi krótko Bożena. — Nie rozumiem. Mój mąż nie pił.

— No, ja wiem, wiem — odpowiada tamta. — Mój też nie pije. Tylko tak od czasu do czasu, kropnie sobie z kolegami. Ale nie o tym chciałam mówić.

— A o czym? — przerywa jej Bożena. Jest zmęczona. Jest bardzo zmęczona i chciałaby wreszcie zostać sama.

— Ja sobie ta' pomyślałam. Idź, mówię ja sobie, do tej pani co jej mąż uratował życie Stefankowi. To ta pani i jemu nie łaskapi dobroci.



— O co właściwie pani chodzi? — pyta ostro Bożena.

— Niech się pani kochana nie gniewa. Ja sobie tylko tak pomyślałam. Ze może... może Stefanek jakąś pamiątkę po pani mężu by otrzymał?

— Pamiątkę? — pyta ze zdumieniem Bożena.

— A no tak. Pamiątkę. Po bohaterze. Po pani mężu znaczy się. Może jakieś ubranie, co mąż już i tak nie nosił, albo czy ja wiem? Przecież po mężu co nieco zostało. Nie będzie pani tego na rynek wynosić. A Stefanek będzie pamiętał i modlił się za duszę swego dobroczyńcy.

„Więc to o to chodzi?” — myśli Bożena i zastanawia się, czy jeśli da tej babie znoszony garnitur Jurka, czy ona sobie wreszcie pójdzie. Bożena wstaje i podchodzi do szafy. Kobieta także wstaje. Bożena sięga po popielate ubranie. Jest jeszcze w dobrym stanie, ale Jurek nie lubił tego garnituru. Mówił, że jest źle skrojony, a na plecach robi mu się garb. Kobieta też wyciąga rękę do otwartej szafy, ale chwytając wreszcie wieszakiem granatowe ubranie Jurka. To ubranie, w którym Jurek brał z Bożeną ślub.

Kobieta odskakuje z ubranie od szafy w kierunku okna. Maca tkaninę, miętoszy, obraca ubranie na wszystkie strony.

— Nie gniewaj się — mówi. — Od razu widać materiał porządny. Nowy on nie jest ten garnitur.

Wraca do stolika i siadając na krześle układa ubranie na swoich kolanach.

— Ja rozumiem — odzywa się po chwili do Bożeny — rozumiem, że darmo nie może pani tego dać. Ja zapłacę. Dojdziemy chyba do ładu. No, ile pani chce?

Bożena milczy. Stoi obok otwartej szafy. Nie ma sił do walki z tą kobietą. Garnitur, ulubiony garnitur Jurka, myśli, i nie jest w stanie ani zaprzeczyć, ani odebrać ubrania.

— Nie ma pani trochę papieru?

— Jakiego znowu papieru? — pyta Bożena.

— No, jak to? Żeby garnitur zapakować. Tak w rękę będę nieśla. Bez opakowania?

Bożena wychodzi do kuchni. Opiera się o ścianę. Chłód przenika przez cienką bluzkę. Chwilę tak stoi. Potem rusza z miejsca, wyszukuje jakas płachtę papieru, wraca do pokoju i podaje kobiecie papier. Tamta sprawnie zdejmując z wieszaka garnitur, składa go zreźnie i z wprawą pakuje.

— No to ile pani chce za ten garnitur? Nowy to on nie jest. Do pralni najpierw trzeba dać. Pani, on niepotrzebny, a pieniądze się przydadzą. Na pogrzeb pani się wykosztowała, no nie? Czteryście złotych, co?

Garnitur wart jest znacznie więcej, myśli Bożena. Jest prawie nowy. Jurek go szanował. Zapłacił za niego blisko dwa tysiące, ale czy to ma teraz jakiegokolwiek znaczenie?

— Niech będzie — zgadza się Bożena. — Przecie nie nowy — ciągnie kobieta. — Żeby był nowy wart byłby więcej. A to i przerobić się musi. Mąż jest trochę niższy. — Przecież to miała być pamiątką dla Stefanka.

— Aha! Dalabym ja Stefankowi taki porządny garnitur. Dla męża będzie jak w sam raz. A mój mąż lubi się w coś porządnego ubrać. Byłby lacha na siebie nie włożył. Taki on jest. Popięć lubi, nie powiem. Choć ja zawsze powiadam: „Wódka człowiekowi cię zgnębi”. Już niejednego zgnębiła. Ale, ale... Coś tam słyszałam, ja bardzo panią przepraszam, ale ktoś mówił, że pani mąż wtedy, też sobie tego... Tak, tak. Iu to ludzi wódka zgnębiła. Żeby nie pił, pewno by żył. No, ale ja płacę i uciekam.

Wyjmuje z torebki pieniądze. Cztery czerwone papierki. Układa je równiutko, obok siebie, na stoliku. Wstaje.

— To ja już pójdę — mówi. Chwyta zapakowane ubranie pod pachę. — No, Stefanek! Pożegnaj się z panią!

Popycha chłopca do Bożeny. Stefanek nie powolutku. Bierze dłoń Bożeny w obie ręce i przycisną do drobnych warg. Jego oczy nie mają już tego wylekionego wyrazu jak na początku wizyty.

Kobieta idzie do wyjścia. Jest już w korytarzyku. Odwraca się. — Jakby pani chciała sprzedać jeszcze coś po mężu, to ja załatwię. Znam takiego jednego. On skupuje różne rzeczy. Radia, telewizory, może jest aparat fotograficzny? Może jeszcze coś z ubrania? Albo meble... Jakby się pani stała wyprowadzała. A może telewizor pani sprzeda?

— Nie! — mówi Bożena. — Telewizor jest na raty. Jeszcze nie spłacony.

Słyszy swój własny głos, jakby to był czyjś obcy.

— A jak tak, to nie wolno. Trzeba najpierw spłacić — tłumaczy kobieta. — A jak się spłaci, to dopiero można sprzedawać.

Podchodzi do drzwi. Bożena wstaje. I kiedy tamta chwytając już za klamkę, Bożena mówi spokojnie ale stanowczo:

— Niech pani się wróci!

— A po co? — pyta tamta zdziwiona. — Zapomniałam może czego?

— Niech pani położy na stoliku ubranie. Bożena podchodzi energicznymi krokami do kobiety i nagłym ruchem wyrzywa jej pakunek spod pachy. Wcisną w rękę pozostawione przez tamtą pieniądze.

— A teraz wynocha! — krzyczy Bożena. — Wynocha! No, już...!

Otwiera drzwi i gwałtownym ruchem wypycha kobietę na klatkę schodową. Nim zatrząskuje drzwi dostrzega na moment zwierzęco przerażone oczy Stefanka, tak jak jakieś rekami daremnie chwytal się kruszącego lodu.

JERZY JARMOŁOWSKI

ZAPIS LASU

LEKARZOWI ELI OSIŃSKIEJ

latem na liście topoli przyszła rdza
oglądaj w ciszy te drzewa

to jest chory las

zakażenie następuje przez blizny

po opadłych liściach

drzewa pod korą

hodują rudy pomór

i tak jak w nas

czerń w sosnach

odkryją dopiero po ścięciu

pokażę ci rakowate modrzewie

o pękniętych strzałach

w końcowym procesie rozkładu

drzewo można w dłoni rozetrzeć

oglądaj w ciszy ten las

ZAPIS SŁOŃCA

dajemy ci słońce naszą wilgoć

nasz pośpiech

nasz strach

i przyjmujemy odwodnioną twarz

starczą

zwyczajną

u drzew największa szybkość

mierzona była w południe

na średnio grubych pniach

na wysokości pierwsz

STANISŁAW
KASZYŃSKI

PRAWDA I ZMYŚLENIE TEATRU

Miedzy latami 1765 a 1965 zdarzylo sie tak wiele, ze dokonanie bilansu w kilku dziesietkach wierszach zakrawa na zachwalstwo i to nawet w owym czasie, gdy oblatamy sobie tylko wycinek z tego obszaru, jedna sprawa. Postawione daty oznaczaja ja jasno, podszepia i kierunek, rodzaj rozmyslania. Rocznicze, szczegolnie te okragle, sluzą wlasnie tym celom, jakkolwiek zgodzimy sie wszyscy, ze jedynie powaznie przyjeta umowa nakazuje nam przystepowac do podobnych operacji rozrachunkowych, wlasnie w momencie mijania rownych przebiegow kalendarza. Jest zatem tak, jak gdyby nieco wczesniej czy tez pozniej, nie moznaz juz bylo zatrzymac sie, rzucic wstecz okiem, i pomyslec. Nie zamierzamy wcale podwazac tej czcigodnej konwencji, bardzo dobrze, ze sie utrzymuje, a istnienie pobudza chodby do „jubileuszowego” rozwalania.

Wyda sie, ze na wstepie trzeba by wnieść następujacy przypisek. Obchodzona obecnie rocznica powstania Sceny Narodowej jest rocznica zalozenia pierwszego publicznego teatru, Teatru Narodowego, który zaczal swój zyciowy i inicjatywny Krola, nie zaś 200 rocznicą dzialalnosci w ogóle teatru polskiego. Istniał on grubo przed rokiem 1765, w rozmaitych postaciach, poczynajsz od teatru religijnego, ludowego, królewskiego i magnackiego. Legitymuje sie nade wszystko bogactwem tekstów, pisanych i w języku polskim, „Odrapaw postów greckich”, wystawiona wkrótce po napisaniu, wystarczy tu za dowód tyleż wyborczy, co wszem znany. Nie było jednakże aż po to datum trwałej formy organizacyjnej, stalego zawodowego zespołu i szerokiej publiczności, trzech elementów, na których wspiera sie instytucja teatru. A Stanisław August Poniatowski powołal je do zycia, cementując je chybą najwazniejszym spoiwem, a mianowicie drobiazgowo i mądrze rozpracowaną doktryną ideowo-wychowawczą. Polityka, która na pozór na niewiele wspólnego ze sztuką, kształtowała dogłębnie ów teatr stanisławowski, uzewnetrzila sie dobitnie w dramaturgii tej pierwszej sceny. Interesy polityczne Krola, który wraz ze swymi stronnikami, przystapil do przebudowy mentalności i obywatelskości zacofanej na sarmacku nacii, odnajdujemy w zdaniach chronowych dialogów polskich autorów, pierwszego Józefa Bielawskiego i głównego dostawcy w tym pierwszym okresie, Franciszka Rohomolca. W ujemnych bądź dodatnich postępkach scenicznych bohaterów wskazywano na to, co trzeba odrzucić lub przyswoić. Świadomość naprawy Rzeczypospolitej w jej urzędzeniach i instytucjach prawnych, ekonomicznych, politycznych, kulturalnych i woj-

skowych, wiazala sie jak najciszej z modelowaniem postaw obywatelskich. Poprzez teatr przede wszystkim, gdzie podnoszenie serc i umyslow do wzorow doskonalych, moglo przyczynic odbywac sie znacznie sprawniej i skuteczniej niz w szkole. Dzialala bowiem magia zywego slowa i konkretnego czlowieka-aktora, odbieranego zmyslami w akcie zbiorowego przezywania. Takiego przezywania, które jeszcze nam, ludziom z odnieszien absurdu, nie jest z pewnością zupełnie obce, o czym wiemy z obcowania ze sztuką teatralną szczegolnie w czasach naniec historycznych. Ale i z doznaz zwyklych wieczorow. Wierzone wówczas głęboko w boskoprednie oddziaływanie teatru, w jego sie urabiaczacy charakter i postawy. Myśle, że i dziś, moze nie tak dostownie, wierzymy w to, oczekujac od teatru nie tyle juz rad i wskazowek, co poruszania spraw aktualnych, pomocnych w poznawaniu nas samych i otaczajacego nas swiata. A przykladów starzych i nowych daloby sie przytoczyć wiele, wszystkie zaś sprowadzaja sie do tego, że nasz teatr, nie zapuszczajac swej funkcji porzykowej, był nieporozumieniem barometrem nastrojow i dazzen narodu, co więcej, jeśli tylko mógł, podwyższal temperaturę uczuć i marzeń zbiorowych. Polityka, która stafa sie ohesia, zgola niezbędną jak powietrze, kazdego pokolenia Polakow od tamtej stanisławowskiej epoki, wtargnela na polska scene, zreszta niedy nie oslabiajac jej wrażliwości artystycznej, a nawet czesto ja podnoszac. W blasku Insurekcji Kościuszkowskiej zrodzila sie „Krakowicz i górale”, wchodzac odtad zawsze na afisze, by nie stenia, nie zginela sprawa walki o wolność i równosc, nowstania i rewolucje uskrzydlaty niezmiennie polski

teatr i to aż po Dejmowską „Laznię”, która stala sie, jak sobie przypominamy, polityczną manifestacją, gulewną i żarliwą. I nigdy ten język, którym przemawial nasz teatr, nie klanal myslom i poczynaniom tych najlepszych w narodzie; jego, teatru prawda, przejawiac sie w urzekajacym zmysleniu, w spotegowanych wyrazach i gestach, moze dlatego ciagle fascynuje, bo niezmiennie przeżywa nasza jednostkowa i zbiorowa egzystencja, miliona i terazniejsza. Jest rzeczą ciekawą, że to porozumienie teatru z widownia w kwestiach zasadniczych, ogólnych, tak oczywiste w czasach zaburzen, kiedy to teatrowi przypadla zaszczynna rola utrzymywania swiadomości politycznej, nie zmalo, jak sie zdaje, i obecnie. Szczegolnie u nas, gdzie zawsze tak pilnie wsluchujemy sie w glosy historii, sledzimy z nieustanna uwaga wydarzenia blizsze i dalsze. Bardzo trafnie ujal ten proces Erwin Axer, mówiac ostatnio w Wiedniu, iż „widownia wielu krajow, nie tylko na Wschodzie, naucezyla sie oczekiwac od teatru interpretacji politycznej utworow”. Poruszajacy zadaniem filozoficznym, moralnym, socjalnym lub siecie polityczne”. Oto główna szansa teatru: aby pozostal zywym, musi utrzymywac ciagle wiez ze wspolczesnoscia, jej realiami, jej pragnieniami, oczekiwaniami. Czy jednak zywioł polityczny, który w ciagu tych dwustu lat dzielow naszej sceny, był zywiołem nadzwyczajnym, pozostal zywiołem jedynym? Znowtamy jeszcze inaczej: czy istnieje nadal potrzeba teatru w naszym wspolczesnym zyciu i jeśli tak, to czy warunkowana jest ona to czy uwaglowaniami wyzszymi, politycznymi, kulturalnymi. Niezwykle. W wyniku zmian sytuacji kulturalnej i cywilizacyjnej, jakas czesc obowiazkow informacyj-

no-wychowawczych teatru, przejel inne sztuki czy instytucje, srodki masowej komunikacji. Wskutek tego zmniejszyla sie potencjalna liczba jego dawnych odbiorcow, i wlasnie na ten fakt pozwolaja sie ci, co nieroztropnie raz po raz obwieszcza kryzys teatru jako sztuki. Zakladajac nawet, iż spowodowalo to pewne zwężenie terenu jego ekspansji, teatr nie ustal w poszukiwaniu swojej swoistosci, wchlonal wszystko, co stworzyla np. nowoczesna literatura, jednoczesnie nie wyrzekajac sie swojej rdzennej prafomy. Jest nia gra i czlowiek, pokazywany coraz inaczej, glebiej i wszczestronniej. Eksperymenty techniczne nowoczesnego teatru i laboratoryjne niejako doświadczenia z koncepcja losu ludzkiego doprowadzily do totalnej dewaloryzacji wszystkich znanych pojęć i form, do demistyfikacji i redukcji, co moze bez trudu dostrzec w propozycjach teatru absurdu. Juz dziś mozna stwierdzic, iż ten poglad swiata i czlowieka, sprowadzonych do stanu nieustawnego, coraz bardziej okazuje sie niewystarczajacy, i coraz częściej absurdu rozszerzaja swoje widzenie, odnajduja na powrot wartosci, tak bezwzględnie odrzucone. Teatr absurdu jest przeło faza przejściowa, wazna, niezbędną po to, aby na jego gruzach mozna bylo ponownie dokonac dzieła rekonstrukcji i syntezy. Musi nastapic, w zasadzie juz powoli nadchodzący, gdyż teatr pokazujacy zywego czlowieka, oferujacy jego prawde istnienia i zmiennych kształtach zmyslenia, nie moze sie wyrzec tego, co stanowi jego nature i warunki trwania, i najprawdopodobniej nie zrezygnuje nigdy z misji drażenia naszych sumien i podnoszenia serc, z zabawy i z zamyślenia, z moralności i polityki.

KRONIKA Anty telewizyjna

BULHAKOW... ITD...

„Dni Turbiny” to autorska przerobka powieści „Biała Gwardia” wydanej w 1925 roku. Los utalentowanego pisarza radzieckiego, Michaila Bulhakowa (1891-1940) nie należał do łatwych. Nie braklo mu jednak fantazji i odwagi, by zmyslac groteskowe opowiadki o przyjaźni ze Stalinem.

„Ale wróćmy do „Dni Turbiny” (chyba Turbinów?). Kulminacja sztuki przypada na listopad 1918 roku w Kijowie: Niemcy, Skoropadski i Petlura; zwycięzająca rewolucja. I na tle tych przełomowych i trudnych zmagani autor pokazal konflikty osobiste i polityczne ludzi skazanych przez historie, kierujacych sie honorem, przywiazaniem do przeszlosci. Pokazal ich z duza wnikliwoscia i obiektywizmem, co jest zasuga pisarza. Oczywiście, pierwsza sztuka późniejszego wybitnego dramaturga ma swoje wyraźne słabości. Po pierwsze, jest przerobka powieści, po drugie ujawnia charaktery i postawy za pomocą bankietu, pijaństwa. Jest to niewątpliwie ułatwienie zadania, gdyż stany alkoholowego upojenia rzadko kiedy zawieraja pełną i rzeczywistą prawde o ludziach, są bowiem dla nich samych stanami nie normalnymi, wtedy zbyt łatwo wszystko sprowadzic do grotesku.

Mimo to pisarz i spektakl narzuca widzowi poczucie, iż ci ludzie byli tragiczni. To jest osiągnięciem sztuki. Kapitan Swiderski czy Pułkownik Pawlicki, do postaci w pełni zarysowane, określone, noszące możliwości w skalę bohaterów epickich.

Poza tym tydzień nie przyniosł większych wydarzeń, kontentowaliśmy się przeciętnym mniej więcej serwisem TV.

Andrzej Zbych, Sienkiewicz naszych czasów, w widoku „Ostatnia broń fuhrera” tym razem zrezygnowal z wymyslenia sensacyjnych spieć, stworzył za to pewien charakterystyczny klimat. Kłęk, pokazal trafna psychologicznie postać fanatyka-uczonego, bluf z wundauffe, wreszcie konstruowanie legendy, której znaczenia nie nalezy nie doeniać. Bluff z cudowną bronią jest zgodny z prawdą historyczną, gdyż wedle źródłowych relacji Niemcom hitlerowskim z wielu względów daleko było, na szczęście do bomby atomowej, aczkolwiek alianci ta ewentualność bardzo sie niepokoiili.

„Miniatury” — oto audycja publicystyczno-felietonowa, która budzi sprzeczne uczucia. Przypomina ona sprawy powszednie, interpretuje „wydarzenia, jakich wiele”, jest polityczna. Ale wlasnie ta interpretacja, ten nieudolny komentarz, pozbawiony wyrazniejszych sformulowań. Czego na przykład dowiedzieliśmy się z długiej rozmowy z przedstawicielem Tow. Świadomego Ma-

ciężystwa? Zostawione nas przy domysłach. Albo: ludzie pobiegli za bandytą! W komentarzu zastanawiano się, co ich do tego sklonilo, nie siegajac po najprostszą przyczynę: odruch ludzkiej szlachetności i solidarności. Czy to w naszych czasach już aż takie dziwne i nie nasuwajace się jako pierwsze, podstawowe wyjaśnienie? Powtarzam: audycja polityczna, ale przydałby się większy temperament publicystyczny, dociekliwość.

Wspominajmy raz o Mózkiem „Lupu-cupu”! To nasz lokalny „Wielokropek”. Okazji interwencyjnych życie miasta, niestety, nastrozba b. wiele. Czy więc sprawa butelki po soku pomidorowym zasluguje na tyle uwagi? Czy myśli się o selekcji? Ostatnio kupuje „Extra-mocne”, których doprawdy nie da sie palic, gasną lub pstrykaja jak zle sztuczne ognie choinkowe. Czy to też temat dla „Lupu-cupu”? Moze by jednak interwencja od czasu do czasu dotyczyla i sprawy powazniejszych, komunikacji tramwajowej, remontow. Prace remontowe rzadko przeprowadza sie we wlasnej kolejnosci, rozciaga sie w niesamowity wprost sposob terminy ich wykonywania... itd. Co zrobiono w Lodzi, by podwyżka komornego oznaczala poprawe w prawidlowym, bardziej rozsądnym wydatkowaniu funduszy? Z obserwacji chociazby wlasnego podwórka, na którym od wresnia co sie dzieje, widze, że nie! Stara mieta i marnotrawstwo!

O inauguracji w Teatrze Wielkim nie bede pisal, gdyż wlasny kwiaty na różne sposoby to wydarzenie w zyciu kulturalnym.

Niedziela podala telewizjom tradycyjnie uroczalony bigos, były i skwarki i kawalki mięsa.

Dobrze oddal klimat znakomitego opowiadania Puszki „Wystrzał” z cyklu „Opowiesci Bielkiny” film Jerzego Antczaka. Czasem „staroświeckość” bardzo sie potrzebuje. Ignacy Gogolewski w podwójnej roli był świetny.

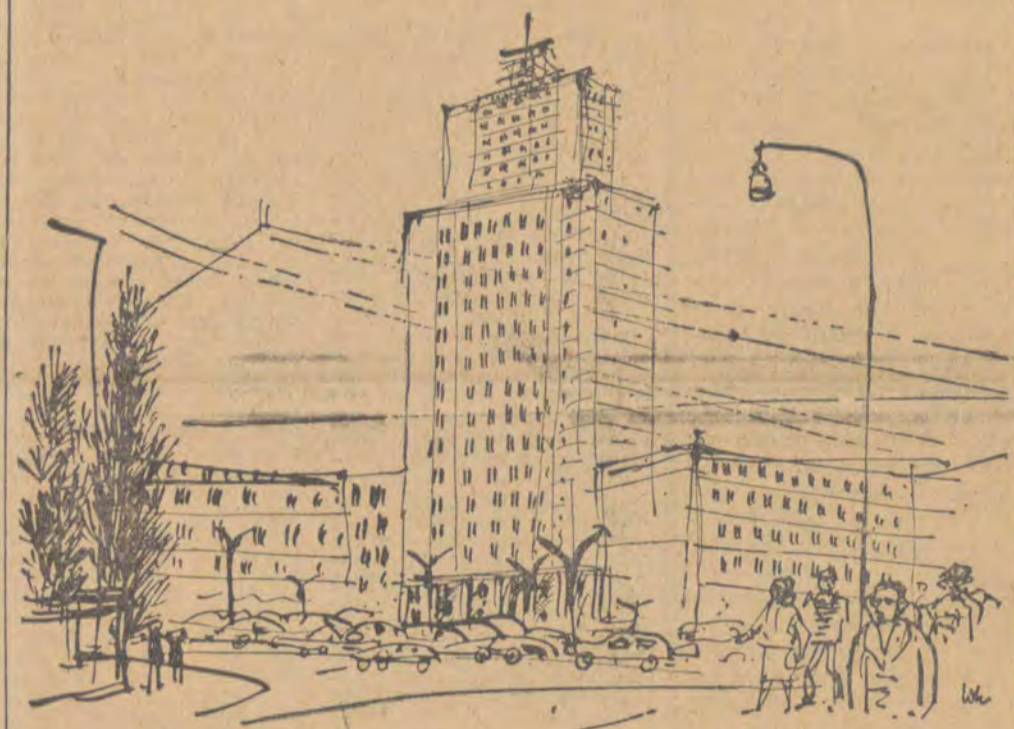
Musze tez pare cieklych slow poswiecić Jackowi i Agacie. Chyba podobaja sie zarowno dziecom jak i doroslym. Z okazji swiata telewizyjnego Jack i Agatka byli bardzo zabawni.

Po obejrzeniu dwóch filmow z Marlena Dietrich — „Blekitny aniol” i „Marocco” — z niejaki „zmiennym stwierdzilem, iż stawna aktorka nie wywiera wrazenia, choc zapisała sie trwale i we mnie jako w widzu przedwojennym. Coż to, u licha, znaczy? Przestarzala stylizacja? Zly stan tasma? Zle dochodzacy glos? Nie umiem sobie tego wytumaczyc. Dodatkowo sprawa komplikuje fakt, iż jednocześnie Emil Jannings (1880-1950) narzuca swoja kreacje z ta sama sila co kiedyś.

No i na zakonczenie nalezy zlozyc TV serdeczne gratulacje. Jak dowiedzieliśmy sie, droga losowania ustalono, iż dwumilionowy abonament zostal p. Mieczyslaw Słowik z Krakowa. Czy mu telewizor nigdy nie nawalal? A moze wreszcie wpłynęło to pozytywnie i na budzet programow TV, o którym niedawno wspominalam. Tego TV i nam trzeba goraco zyczyć.

Jan Hussar

Z teki WACŁAWA KONDKA



Gmach Łódzkiej Telewizji

O FILMACH DOBRZE I ZŁE



46 nr „Polityki” z bieżącego roku donosi w rubryce „Coś z życia”: „Pewien obywatel Kielec opłacił w swym kościele parafialnym mszę na intencję drużyny sportowej, której był kibicem. Modlił się miano, by drużyna wróciła do wyższej klasy, z której w tym roku spadła. Proboszcz przed mszą wszedł na ambonę i uprzedził, że odprawianie modlitw, które za chwilę się odbędzie, nie gwarantuje drużynie awansu. Kościół uprzedza więc zawodników, którzy powodowani głęboką wiarą mogliby zaniedbać treningi, że niebiosa pomysłnie pokierują piłką tylko za pośrednictwem ich sprawnie poruszających się nóg.”

W kraju takich kibiców film Juliana Dziedziny „ŚWIĘTA WOJNA” nie może być dla nikogo

zaskoczeniem. W kraju takich jak po upadku „szkoły polskiej” filmów, dzieło Dziedziny nie zdola zadziwić nikogo. I jeśli w końcu zdarzy się dzieło, które przerasta swą miarą mierności, jeżeli reżyser jest ambitny i ma coś do powiedzenia od siebie o otaczającym nas świecie, wówczas naród spragniony w dzieła sztuki filmowej wstąpi. To jest wreszcie o czym dyskutować, testem świadkami takiego wlaśnie smaku. Kto żyw — pisze o „Polnolach” i chciał film ten nie podobać mi się, choć nie lubię go (niektórzy twierdzą, że ten film wcale nie jest tak dobry, jak się wydaje), to niechże ten film przetrwa, niechże ten film przetrwa, niechże ten film przetrwa.

do filmu Dziedziny — „Święta wojna” wbrew swemu tytułowi nie wywala świętej wojny krytyków i miłośników kinematografii. Nie spowodowała chyba żadnego sporu. Bo film Dziedziny jest po prostu w jednym z tych sposobów niesłychanie słaby, niedobry, zrobiony bez gustu, pełen tanich, wulgarnych chwytów „pod publiczność”. Mimo to rokuje mu jednak powodzenie. Wszystkie braki wynagradza bowiem hojnie nadmiar „sprytu” twórców. Wiedzieli, na co postawić u nas, w kraju kibiców, Święta wojna, którą zapowiada tytuł, rozgrywa się między dwoma piłkarskimi drużynami rywalizującymi ze sobą, a nade wszystko między ich kibicami. Przy okazji znajdujemy wyraz szlachetne intencje wychowawcze twórców, podających

krytyce skandaliczne zachowanie niektórych miłośników piłki nożnej na stadionie. Ale tej krytyki jest niewiele. Cały film zrobiony jest jak gdyby „dla draki”, jak powiedziałby uczniaki. „Rozrobki” kibiców także. Objawy chamskiej pokazywane na ekranie, nie razły mnie więc niewymownie. Ubolewałem nad tym filmem. Właśnie dlatego, że chyba będzie miał powodzenie. Że oparty jest o temat „samoznawstwa”. Bo równocześnie jest prymitywny, niedobry. Słowa towarzyszącej mu piosenki mówią: „ten miał być tylko żart, ten żart nie udał się nam”. I chociaż odnosi się do wydarzenia, które miało miejsce w akcji „Świętej wojny”, można by je z powodzeniem zastosować do ogólnej oceny filmu.



Na łcie szatański pomysł wpadł reżyser Flan Luigi Polidoro, kiedy postanowił nakręcić swojego „SZATANA”. Film ten można by określić najkrócej w ten sposób: jest to opowieść o Szwedzie widzianym po raz pierwszy oczami przybyszającego doń Włocha, ale oglądanej przez pryzmat zakorzenionych w nim wyobrażeń czerpanych z przewodników turystycznych, z taniej reklamy, plotek. Jest to więc nieustanna konfrontacja rzeczywistości z prymitywnymi, przesyconymi sensacyjnością wyobrażeniami. Powstała w ten sposób komedia obyczajowa o wyraznym zacięciu satyrycznym. Zachęcam wszystkich gorąco do jej obejrzenia. Już dawno nas zdarzy-

ło mi się oglądać tak doskonałe komedie. Niech dodatkową zachętą będzie to, że film ten otrzymał Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Berlinie w 1963 roku. Wiadomo, że komizm nie jest najłatwiejszą dziedziną twórczości. Jakże łatwo komedia staje się płaską lub wręcz wulgarną, dowiecy nie śmieszka, a sytuacje komiczne przestają bawić. Filmowi Polidoro nie grozi to ani przez chwilę. Zrobiony jest z dużą kulturą, ze znakomitą smakiem. Jego twórca ma kapitalne poczucie humoru i świetnie potrafi bawić widzów. Reprezentowany przez komizm jest przede wszystkim komizm sytuacyjny. Chwała Polidoro, że potrafił przed-

stawić nam taką galerię doskonałych typów. Alberto Sordi znany także z niedawno oglądanego „Człowieka na fil” gra tu pierwsze skrzypce. Coż to za wspaniały talent komiczny! Jako włoski mieszczuch jest w „Szatanie” rewelacyjny. Ze swoim rozpasaniem erotycznym wyobraźni, z namiętnym polowaniem na przegode, ze swoją prostodusznością, tuszą i „glupotą”, Mieszczuch, który wyrwał się z kraju erotycznego purytanizmu, z kraju, w którym nie ma rozwodów, Oszlamia go myśl o swobodzie seksualnej, z której on sam będzie mógł — w swym mniemaniu — skorzystać bez obawy o konsekwencje. I nagle widzimy 40-letniego mężczyznę, który zachowuje się i myśli jak młody,

gluputki chłopak, który nigdy jeszcze nie zubił się do dziewczyny. Wynika z tego wiele zabawnych sytuacji (komediowe chwytły często posiadają tu jakieś cenny urok świeżości, nowości). Wszystkiemu winna rozgorączkowana wyobraźnia bohatera.

Kto w tym filmie gra rolę tytułowego szatana? Mieczysław Słowik. Kiedy Włoch wraca już do swojej ojczyzny, myśli w podcaśu o blond włoskich kobietach, z którymi zetknął się w Szwecji; one są aniołami, mężczyzna jest przy nich szatanem.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

O TOLSTOJU

Mowa, oczywiście, o wielkim Lwie Tolstoju. Nakładem paryskiego wydawnictwa Hachette ukazana się książka o autorze „Wojny i pokój”, będąca dziełem dziewięciu pisarzy i krytyków (Henri Troyat, Sophie Laffitte, Jacques Madaule, Emil Tersen, Armand Lanoux, Zoé Oldenbourg, Nina Gourfinkel, Daniel Hunebelle i Roman Gary). Książka zawiera oryginalne sady oraz niekiedy nowe spojrzenia na dzieło i życie największego pisarza rosyjskiego, jak również — bogatą ikonografię. Na ogół wszyscy z dziewięciorga wymienionych pisarzy opisują Tolstoję poprzez jego dzieło, i słusznie, gdyż pomimo epickich utworów Tolstoj, niczyje powieści nie były tak autobiograficzne jak jego. I żaden pisarz nie pozostawił tyle co on pism o charakterze intymnym. Tolstoj — człowiek zwiekłokrotniony, tak nazwał autora „Anny Kareniny” Jacques Madaule, i znów, słusznie, gdyż nikt przed ani po Tolstoję nie odczuwał tak intensywnie wielkości i małości człowieka, a co za tym idzie — sensu życia i śmierci. Tolstoj tak obdarowany przez naturę i sławę, był człowiekiem pełnym głębości i nieuleczalnych (jeżeli tak można powiedzieć) sprzeczności. Tolstoj nie mógł się uwolnić od samego siebie inaczej, jak przez poszukiwanie dróg do doskonałości moralnej. „W Tolstoję, pisał niedługo Romain Rolland, wszystko jest dumnym buntem przeciwko dumie, wściekłością przeciwko wściekłości, pasją przeciwko pasji, gwałtem przeciwko niesprzeciwianiu się złu”. W rzeczywistości jest coś tytanicznego i fascynującego w życiu proroka z Jasnej Polany, i autorzy sygnalizowanej książki, (która powinna okazać się równie po polsku) potrafili wydatnie wielkość geniusza. Książka nosi tytuł „Tolstoj”, wyszła w serii „Genies et realites”.

MUZEJA RADZIECKIE WE FRANCJI

Po Bordeaux, gdzie wystawa radziecka była otwarta od wiosny tego roku, stolica Francji powitała ekspozycję paruset obrazów z Galerii Tretjakowskiej z Moskwy i Ermitażu z Leningradu. Nawzajem Luwre i parę muzeów prowincjo-

nalnych wysłało do Moskwy około pięćdziesięciu eksponatów, które będą wystawione w Leningradzie. Ekspozycja radziecka wywołuje duże zainteresowanie prasy europejskiej, która stwierdza, że Ermitaż leningradzki jest jedynym (oprócz Luwru) muzeum, które posiada panoramę arcydzieła malarstwa francuskiego, będących jednocześnie historią tego malarstwa. Najwięcej uwagi poświęca zwiedzająca publiczność fenomenalnej kolekcji płócien impresjonistów, przywiezione z muzeów radzieckich. Są tam dzieła Cézanne'a, Renoira, Gauguina i wielu innych. Za najpiękniejsze uchodzą dzieła Renoira, przywiezione z Muzeum Puszkina z Moskwy i Ermitażu z Leningradu. Zachwyty wzbudza Portret Jeanne Samary, pędzla Renoira, o spojrzeniu jasnym i przenikliwym, którym Samary zdaje się przykuwać widzów. Wiek dwudziesty jest bogato reprezentowany przez Bonnard, Deraina, Matisse'a, Légera i Picassa. Przywiezione z ZSRR arcydzieła malarstwa zaskakują, jak pisze prasa zachodnia, na wielogodzinną kontemplację.

ZACHWYTY NAD „PSIM ŻYCIEM”

Günter Grass znany jest u nas z krótkiej powieści „Kot i mysz” przetłumaczonej przez Irenę i Egoną Naganowskich i wydanej w 1963 roku przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik”. Grass urodził się w 1927 roku w Gdańsku, gdzie spędził dzieciństwo. W 1945 roku przeniósł się do Niemiec zachodnich i osiadł na stałe w Berlinie. W „Kocie i myszy” uderza szczególnie stosunek autora do polskości, przyjaźni i życia. Nowa powieść Grassa „Psim życie” (można tak i tak, to sprawa interpretacji) wzbudziła formalne zachwyty w prasie światowej. Pisze się tam: „okrutna, barokowa, zwodnicza o niezwykle bogatym słownictwie i wstrząsającej inwencji powieść Güntera Grassa ewokuje na pograniczu zjawy i rzeczywistości ćwierćwiecze z dzieł dużej duszy niemieckiej. Zadziwiające piękno tego utworu polega między innymi na bogactwie lingwistycznym i nieoczekiwanych chwytach kompozycyjnych. Geografia i językoznawstwo, choreografia i mi-

neralogia, piłka nożna i filozofia egzystencjalna Heideggera, wszystko się w tej powieści łączy w ciśniejącą całość. Po „Błaszany i bebenku” i „Kocie i myszy”, „Psim życie” są nową demonstracją talentu, który zapisał się na kartach historii literatury światowej”. A kiedy my w Polsce doczekamy się przekładu „Psim lat”?

NIEZMORDOWANY MAUROS

Nie można nie podziwiać pracowitości autora „Klimatów”, przechodzącego raz po raz od eseju do biografii, a od biografii do panoramicznych opisów historii różnych narodów. Niedawno ukazała się w paryskim wydawnictwie Hachette „Historia Niemiec” spisana przez André Mauroisa. Temat ogromny i skomplikowany, niemniej, z francuską klarownością podany i przeznaczonej dla szerokiej publiczności. Może metoda nie jest bez zarzutu, ale czytelność książki pierwszorzędna. Studium zaczyna się od historii pierwszych Germanów, a kończy na roli dwóch ostatnich kanclerzy, Adenauera i Erharda. Recenzje, na których się opieramy, podkreślają też walory zewnętrzne książki i jej bogactwo graficzne, które odrywa czytelnika od tekstu. Nas interesuje szczególnie to, jak Maurois opisał historię stosunków sąsiedzkich polsko-niemieckich, czy nie „zapomniał” o Grunwaldzie, wozie Drzymały, Oświęcimiu i tym podobnych „szczegółach”. Warto sprawdzić tę książkę z Paryża, zapoznać się z nią i jeśli okaże się tak wartościowa, jak ją przedstawiają, namówić jakieś wydawnictwo do przetłumaczenia i wydania. Wrócimy jeszcze do tego tematu.

NOVA WYSPA

Świat wzbogacił się o nową wyspę. Jej nazwa: Surtsey. Wyłoniła się z morza z południowej strony Islandii. Geologowie po raz pierwszy od początku stulecia wróżą tej wyspie trwałe istnienie w przeciwnieństwie do poprzednich efemeryd wulkanicznych pochodzenia. Wyspa ma długość jednego kilometra, wysokość stu osiemdziesięciu metrów. Fenomen ten interesuje żywo uczonych, a w szczególności — biologów, którzy mają okazję studiowania objawów transplancacji życia na nowej ziemi.

CZY FOTOGRAFIKA JEST SZTUKĄ

Szwajcarski periodyk fotograficzny „Camera” zamieszcza fotografie dostarczane przez najlepszych fotografików w skali światowej. Opinie znawców fotografii w sprawie, czy fotografia jest sztuką są podzielone. Sir John Rothenstein, konserwator Tate Gallery, wypowiada pogląd, że fotografia jest sztuką w całym tego słowa znaczeniu, gdyż stanowi jedyną autentyczną wypowiedź człowieka XX wieku. Wybitny współczesny fotografik Brassai, który zamieszcza swe prace w szwajcarskiej „Kamerze”, podkreśla to, co jest specyficznego i jedynego w fotografii. Bez pretensji artystycznych, fotografia, dokumentalna i badawcza, odzwierciedla naszą chwilę bieżącą, aktualną. Fotografia narzuciła się naszej cywilizacji przez tysiące codziennych obrazów, docierających we wszystkie strony świata i czytelnym dla wszystkich. Dzięki fotografii stało się jasne, że nie jest nam konieczne potrzebne pośrednictwo artysty między naszym wzrokiem a światem. Dzięki fotografii przemówiły rzeczy, którym u dzielił się głos. Duże znaczenie przypisywał fo-



Fot. Brassai

Fotografia może nas oświecić od przestarzałych wyobrażeń. Ponadto, fotografia przeprowadza ściśle rozgraniczenie pomiędzy malarstwem, będącym wyrazem uczuć artysty, a malarstwem opisowym. To ostatnie zostało pozbawione racji

bytu. Są też wyznawcy poglądu, że fotografia jest ściśle związana z rozwojem naszej cywilizacji i nie tyle jest sztuką, ile uprzywilejowanym sposobem docierania do rzeczywistości i odkrywania piękna świata.

LITERACI I POLITYKA

Dwaj francuscy pisarze, Andre Figueras i Jacques Laurent, zostali skazani przez paryski sąd za obrazę prezydenta de Gaulle'a. Figueras otrzymał dwa miesiące więzienia z zawieszeniem; Laurentowi wymierzono grzywnę dwóch tysięcy franków. Wydawca jego książki pod tytułem „Maurice pod de Gaulle'em” również musi zapłacić karę pieniężną w kwocie dwóch tysięcy franków. W motywach wyroku sąd zaznaczył, że „wolność posiadania poglądów politycznych, odmiennych od poglądów rządowych, nie jest równoznaczna z prawem do niepokochanych ataków na osobę głowy państwa”. Figueras został skazany za pewne ustępy w jego książce pod tytułem „General umrze”.

WYCHOWANIE I ZDOLNOŚCI

Postępowy biolog francuski Jan Rostand w ankiecie na temat: Zdolności a wychowanie, zwrócił uwagę na ogromne marnotrawstwo talentów we współczesnych społeczeństwach. Duża liczba ludzi posiada ponadprzeciętne walory intelektualne, które nie mogą się rozwinąć z winy nieodpowiednich warunków. Dużo dzieci uważanych za ograniczone i niezdolne do postępów w nauce jest ofiarami zarówno niewłaściwych metod pedagogicznych, jak — różnych nerwów i zahamowań występujących w pierwszym zetknięciu ze szkołą. Odliczając stwierdzoną statystycznie i procentowo leżącą liczbę debilów, nie spotkałem dzieci z natury głupich, lecz tylko „zahukane” i ogłupiałe, przygnębione i sterroryzowane z przyczyn zewnętrznych obiektywnych. Jestem zdania, że gdyby pomimo trudności psychologicznych i materialnych podwyższyć i polepszyć warunki materialne pewnej liczby dzieci, mogłyby one osiągnąć poziom intelektualny oznaczony jako bardzo wysoki.

Wniosek: Wszystkie istoty ludzkie posiadają dostateczne zdolności i talenty oraz możliwości przystosowania się do życia. Obowiązkiem społeczeństwa jest stworzyć dla każdego odpowiednie warunki dla rozwoju swej osobowości. Tak mówi postępowy francuski biolog Anno Domini 1965, na podstawie obserwacji dokonywanych we Francji.

POLONICA

POLSCY AUTORZY
W TEATRACH
NIEMIECKICH

Hamburski miesięcznik „Theater heute” (Teatr dzisiaj) wydaje co roku bogaty, znakomicie opracowany przegląd najważniejszych wydarzeń minionego sezonu, obficie i interesująco ilustrowany. Czesłostatnia przeglądu-kroniki zawiera zestaw repertariu, zrealizowanego na scenach niemieckich, działających w NRD i NRP, w Austrii, Szwajcarii, a nawet w Holandii, oraz propozycje na sezon najbliższy. Z tym większym zainteresowaniem czyta się ten wykaz, ponieważ spotykamy nazwiska polskich twórców.

Zaczynamy od przytoczenia sztuki już wystawionej. Jak wiadomo, nie mają powodzenia nasi klasycy na scenach obcych i tylko jedno nazwisko figuruje w tym spisie: Gabriela Zapolskiej, autorki „Moralności pani Dulskiej”. Potwierdza się, że ta autorka i ta konkretna sztuka zdobywa coraz wytrwalejsze europejskie. W sezonie 1964/65 grał ją Teatr Miejski w Würzburgu i takiż teatr w Baden-Baden, a zapowiedziała scena w Göttingen.

Nie będzie wcale niespodzianką, jeśli powiemy, że wśród naszych współczesnych dramatów wie dzie bezapelacyjnie prym Sławomir Mrożek. Przygotowano jego utwory w: Esslingen („Karol” wraz z „Opowiadaniem w Zoo” Albeego, we Flensburgu („Polcja” i „Na pełnym morzu”), w Bad Godesberg („Na pełnym morzu”), w Kiel („Karol”), w Nürnbreg („Streptase”), w Osnabrück („Polcja”), to sama sztuka wystawiał teatr w Rendsburgu, a w Rheydt „Na pełnym morzu”. Niewątpliwym wydarzeniem będzie wystawienie w bieżącym sezonie aż w trzech teatrach pierwszej polnospektaklowej sztuki Mrożka — „Tango”, którą drukuje we wrześniowym numerze właśnie „Theater heute”. (Warto nadmienić, że w każdym numerze publikuje się jeden utwór dramatyczny: z Polaków prezentowano w przekładach „Pierwszy dzień wolności” Leona Kruczkowskiego (1961/7) oraz „Ślub” W. Gombrowicza (1965/3). „Tango” zapowiedziały teatry w „Düsseldorfie (w reż. Erwina Axera), w Berlinie zachodnim i w Wiedniu (Theater in der Josefstadt, teatr Maxa Reinhardta). Ale to jeszcze nie koniec z Mrożkiem! „Polcję” zaanonsowały dwie placówki: w Lüneburgu, w Bremerhaven i w Dinslaken, w Darmstadt zaś — „Karola”.

Drugie miejsce przypada Jerzemu Broszkiewiczowi, ale jego rzeczy mamy dopiero w zapowiedziach (grano go zresztą już wcześniej) na tym obszarze). Wiele imiona władzy” proponuje swoim widzom teatr w Bochum, „Koniec księgi Hioba” zagrala w Grazu, w Linzu i w Cölle — „Głupca” i innych.

Po jednym utworze mogą już wpisać na swoje konto: Krzysztof Choinski („Nocna opowieść” w Sztetniku), Bohdan Drozdowski („Kondukt” w Oberhausen), Witold Gombrowicz („Tłwona księżniczka burgundzka” w Dortmund i Roman Niewiarowicz („Kocham ciebie” w Hamburgu).

Z dalszych anonów wymienię „Świadków, czyli naszą małą stabilizację” T. Różewicza (Teatr Narodowy w Mannheim) i „Ślub” W. Gombrowicza (Teatr Kameralny w Monachium).

Latwo o wnioski: nasi autorzy wchodzą w repertuary zarówno teatrów czołowych, jak i prowincjonalnych, co też istotne, na sceny normalne, pracujące dla zwykłej publiczności.

Jeszcze jeden fakt mity. Oto doczekamy się wreszcie prapremiery bodajże wiedeńskiej „Halki” S. Moniuszki, która przygotowała Opera Ludowa. Równolegle z tak pięknym wciśnięciem się „naszych” do repertuarów, notujemy i sukcesy reżyserów na tym terenie, przede wszystkim Konrada Swinarskiego, który zdobył sobie renomę znakomitą inscenizacją „Marat” P. Weissa. Ostatnio wyreżyserował w Schiller-Theater (Berlin zach.) „Pluskwę” W. Majakowskiego. Kilkadziesiąt zdań poświęcił tej inscenizacji w cytowanym roczniku Ernst Wendt w szkicu pt. „Rok młodych reżyserów”.

S. K.

POLONICA

str. 9

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Technika śmiało wkraza nie tylko w humanizm, ale i w sztukę, zmieniając środki jej wyrazu; organizuje naszą wyobraźnię i wywiera głębokie piętno na obyczajowości. Na przykład szczegóły niby niewiele znaczący: pistolet filmowy. Proszę — do wysłuchania filmów. W tym, że inżynier z W-wy przelał go (pistolet) swojej ciocie w Łodzi niekoniecznie należy dopatrywać się dowcipnie ukrytych intencji, jest to bowiem zabawa dla dzieci. Idzie o coś znacznie cenniejszego, a zarazem ważniejszego: o „organizowanie” wyobraźni (szczególnie dziecięcej), o powołanie odczyszczenie jej z pistoletów filmowych, kartaczy dźwiękowych, bomb oświeblających, a nawet sex-bomb.

WTOREK

Żył sobie na przełomie XIII i XIV w. pewien

człowiek, który uwielbiał oczy, szczególnie oczy kobiety. W związku z tym opiewał je w swoich utworach poetyckich „kilka-krotnie”. Żyje sobie w drugiej połowie XX w. pewien człowiek, który również... Wczoraj wieczorem po występie bigbeatowego zespołu „The Animals” jakis młotnik... 18-letniej dziewczynki synał piaskiem w oczy. Ofiarę „zabójców” skierowano na okulistykę do Szpitala im. Jonschera. Trudno dociec, gdzie leży źródło tego typu afekcji — w utworach Dantego, w „The Animals” czy też po prostu „W źle zorganizowanej wyobraźni”.

ŚRODA

„Dziś i jutro kultury radzieckiej”. W ŁDK staraniem TPP-R i WKZZ odbyła się konferencja popularyzacyjna. O polsko-radzieckiej współpracy kulturalnej mówił Tadeusz Książek, a o współczesnej

literaturze radzieckiej dr Florian Nieuważny.

Przedstawiono również zebrał problemy teatru, o których mówił Eugeniusz Żytomirski.

Trzeba przyznać, że po raz nie wiadomo który, że sztuka w ogólności, a kultura w szczególności jest potężnym katalizatorem zbliżeń i przyjaźni. Dobrze jest pamiętać, że u podstaw (pokoju-humanistycznych) tendencji rozwojowych ludzkości leży pasja twórcy; nie należy zapominać, że ostatecznym celem i szczęściem wyzwolenego człowieka jest własne Ona.

CZWARTEK

Jubileusz! Nie tak nie cieszy jak jubileusz. Boć to przecie kawał drogi przebytej, boć to przecie walka z przeciwnościami i pokonywanie bezwzględności upływającego czasu. Wyniki osiągnięte — mierzone czasem — są treścią i sensem jubileuszu. Przeważnie wykładnikiem pewnego okresu działalności bywają lechby. 20 lat teatru łaskowego „Pinokio” to: 70 premier, ponad 9 tys. widzów, prawie 3 mln widzów. Bilans imponujący i można by nawet na tym poprzestać, z małym wszelako zastrzeżeniem, że dotyczy on (bilans) tylko mierników. A

wynik? Sztuki „Pinokio” nie tylko bawią, lecz również uczą, wychowują i kształtują smak estetyczny swoich młodych widzów. Widziałem, widziałem i mogę od siebie dodać, że poza walorami sztuk i poziomem ich wystawienia, na uwagę i uznanie zasługują gra aktorów: sugestywność kwestii przekazywanych młodym widzom bez pomocy mimiki i gestu — co wymaga znakomitych walorów głosowych i nienagannego dyktanta — oraz duża zrzeczność w „ożywianiu” lalki; to już jest pełne, lecz jakże skromne i niewdzięczne akorstwo. Miara wzruszenia jest miarą osiągnięć. Widziałem, widziałem, a później zawiązany autokarem na spotkanie z pracownikami teatru do PWRN jadłem bułeczki z dżemem i popijałem kawką z wypiekami na twarzy.

PIĄTEK

Dzień Nauczyciela! Zbiegli on się w tym roku z ślubem ZNP. Nie tak nie cieszy jak jubileusz. Boć to przecie nauczycielski, a nauczyciel to drugi „rodzic” naszego dziecka. Ja, ten pierwszy („rodzic”) żyjący w symbiozie z ciałem nauczycielskim, korzystam z rzadkiej okazji i życzę drugiego sześćdzie-

sięciolecia ZNP. Obyśmy Tymczasem zaś pooglądaliśmy sobie „Wystawę Prac Plastycznych Nauczycieli”.

SOBOTA

Oto i jestem. Na wystawie. Było to tuż przed wojną (druga światowa) i sam Sichulski uczył nas rysunków w gimnazjum. Coż to za człowiek był ten Sichulski! Mówił: malujcie, co chcecie, tylko nie zaglądać do encyklopedii. Profesor w poprzedniej klasie tego nie mówił, za to: robiliśmy akwarelami portret medela (kolegę) i pilnie przekładaliśmy faceta na papier pedzelkami. Model miał pęgi. Odstawiliśmy te pęgi do do jednego, tylko kolega krótkowidz upierał się, że pęgiów nie widzi. Chryja z tego była niezłomska. Przyszedł Sichulski i koniec z pęgiami. — Nie fotografować — krzyczał Sichulski — zostawcie wiedzę o lesie lesnikom, wy ucicie się piękna! Ale powracając do wystawy. Malarstwo, grafika, rzeźba. Niektóre prace interesujące, niektóre mniej. Grafiki Józefa Raczyka z talentem i kulturą plastyczną robione. Inne, nagrodzone prace, każda wierzyć, że jeżeli zdolności pedagogiczne idą w parze z kulturą plas-

tyczną twórców, to wyniki nauczania będą pozytywne. Inne z nienagrodzonych prac każą głęboko wierzyć w talenty pedagogiczne wystawiających, co również pozwala z ufnością spojrzeć w przyszłość.

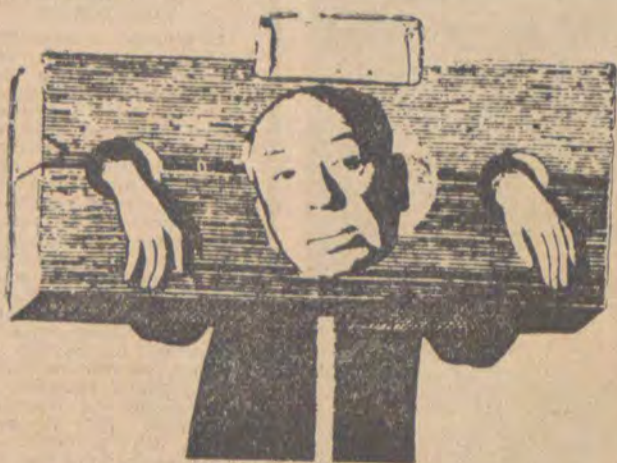
NIEDZIELA

Można trochę pomarzyć? Można, bo niedziela. Piękny ten świat będzie, ach piękny. Chociaż i teraz niczego sobie. Ale pomyślcie! Kiedys; przeszczepianie mózgu. Coż za kolosalne ułatwienia, racjonalizacje. Na ten przykład: człowiek reprezentacyjny, dzielny, ze wszech miar wszystko, na stanowisku. Ma tak pewne trudności, że tak powiem — koncepcyjne. Drugi taki sobie, niepozorny, miutki, ni to, ni owo, tylko łatwo mu idzie, że tak powiem, z tą koncepcją i w ogóle. Mały zabieg operacyjny a obaj pozbyli się drobnych mankamentów i są na swoim miejscu.

Ekipa chirurgów z Clevelanda zdołała przeszczepić mózg jednego psa drugiemu i utrzymać jego funkcję przez 3 dni. Podobnych eksperymentów dokonano na małpach.

W. Złoboda

PRZECZYTAJ W TRAMWAJU* PRZECZYTAJ W POCIAGU* PRZECZYTAJ U DENTYSTY*



Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

Alfred Hitchcock

Muzyka biegła za nim przez białe korytarze. Zza drzwi znajdujących się po obu stronach dobiegały dźwięki. Strawiński był przemierzany z Bachem, Haydn bezskutecznie usiłował wydrzeć się z objęć Rachmaninowa, Schubert umierał pod uderzeniami Duke'a Ellingtona. Sekretarki mruczały pod nosem, lekarze pogwizdywali — jak zawsze rano wszyscy zaczęli pracę. Psychiatra szedł i skinięciem głowy odpowiadał na ich ukłony. W swoim gabinecie przejrzał jakieś papiery ze stenografistką, która cały czas coś śpiewała, a potem zatelefonował na górę do kapitana policji. Po kilku minutach zapaliło się czerwone światło i z sufitu rozległ się głos:

— Aresztowany znajduje się w gabinecie numer dziesięć.

Otworzył drzwi i wszedł. Usłyszał za sobą zgrzyt zamka.

— Jeszcze tylko pana brakowało — powiedział aresztant i uśmiechnął się.

Uśmiech oszołomił psychiatrę. Był tak promienny, że nagle oświecił i ogrzał cały pokój. Ten uśmiech był jak zorza poranna w ciemnych górach, jak południowe słońce, które nagle zabłysło pośród nocy. A nad tą natrętą wystawą oślepiających zębów spokojnie i wesoło błyszczały niebieskie oczy.

— Przyszedłem, by panu pomóc — odparł psychiatra i zaszepił się.

Coś w tym pokoju było nie tak. Zauważył to jeszcze stojąc w drzwiach. Rozczulił się niepewnie. Aresztant zaśmiał się.

— Pan się dziwi, że tu tak cicho? Po prostu przytrzasnąłem radio.

Niebezpieczny — pomyślał lekarz.

Aresztowany wyczytał to z jego twarzy, uśmiechnął się i uspokajającym gestem uniósł rękę:

— Nie, ja tylko tak z maszynami, które za bardzo hałasują.

Na szarym dywanie leżały stłuczone lampy i kawałki drutu — to wszystko co zostało po wyrwanym ze ściany.

RAY BRADBURY

ZABÓJCA

ny radioodbiorniku. Psychiatra usiadł naprzeciwko pacjenta. Niezwykła cisza przylatywała jak przed burzą.

— Pan jest Albertem Brock, nazywającym siebie Zabójcą?

Brock z zadowoleniem przytaknął skinięciem głowy.

— Ale nim zaczniemy... — miewkim ruchem zdjął z reki lekarza radiobransoletę. Włożył do ust i jak orzech rozgryzł zębami miniaturowy odbiornik, po czym żałosne resztki zwrócił oszołomionemu psychiatrze z takim wyrazem twarzy, jakby sobie i jemu zrobił największą przyjemność. — Tak będzie lepiej.

Psychiatra szeroko rozwarłymi oczyma patrzył na zniszczony aparat.

— Chyba dużo pieniędzy pan wydaje na pokrycie kosztów w ramach odszkodowania.

— Głupstwo — uśmiechnął się pacjent i zaśmiał: „Nie ważne, co się ze mną stanie!”

— Zaczniemy? — spytał lekarz.

— Proszę bardzo. Pierwszą

ofiara był mój telefon. To było okrutne zabójstwo. Zaduśnięcie go. Potem zastrzeliliem telewizor!

— M-mm — zamruczał psychiatra.

— Wiadowałem w kineskop sześć pocisków. Huk był wspaniały!

— Ma pan dużą wyobraźnię.

— Jest pan bardzo uprzejmy. Ja zawsze marzyłem o tym, by zostać pisarzem. Ale do rzeczy. Człowiek nie ma ani chwili spokoju. Jak nie telefon — to znów radio, albo telewizor, adapter... I tak w koło. Jeżeli nie oślepią cię reklamą na niebie, to na pewno ogłuszą muzyką w każdej restauracji. W drodze do pracy na każdym kroku spotyka cię muzyka i reklama. Jednak największych tortur przysparza mi radiobransolet: żona i przyjaciele wywołują mnie co pięć minut. Siedząc, nudzą się i dla zabicia czasu dzwonią do mnie, bo każdy ma radiotelefon na swoim przegubie.

— Jak pan się czuł w ciągu ostatniego tygodnia?

— A tak... wydawało mi się, że za chwilę rozlegną się w kawałki. Albo zaczynam walić głową o ścianę. I tego dnia zrobiłem z tym wszystkim porządek. Radiobransoletę rzuciłem na chodnik i rozdeptałem. Akurat ktoś powiedział: „Tu Instytut Statystyczny. Co pan jadł dzisiaj na obiad?” I w tym momencie zniszczyłem ten przekłety aparat.

— A co dalej?

— Była cisza. Boże, co za rozkosz! Przecież to radio trzeszczało bez wytchnienia! Brock, tutaj, Brock, tam, Brock, należy zameldować dokąd pan wyszedł, Brock, należy zameldować dokąd pan przyszedł, Brock, przerwa obiadowa, Brock, koniec przerwy, Brock, Brock, Brock... Rozkoszowałem się tą ciszą. Potem siedziałem sobie w samochodzie i uśmiechałem się. W uszach czułem coś tak miłego jak flanela. A to była cisza — to była Wolność!

— Proszę mówić dalej.

— Przypomniałem sobie, że są takie przenośne diamentryczne aparaty. Wziąłem jeden i jadę autobusem do domu. A w autobusie pełno wymęczonych urzędników i wszyscy przez radiobransolety rozmawiają ze swoimi żonami: jestem już na Czterdziestej trzeciej ulicy, na Czterdziestej czwartej... na Czterdziestej dziewiątej... skracam na Szczęśliwej pierwszej. A jeden z nich klnie: Do diabła, moją głowę już przestać siedzieć w barze! Idź do domu i podgrzej obiad, jestem już na Siedemdziesiątej! A głosnik wykrzykuje „Opowieści lasu wiedeńskiego” — zupełnie jak głodny kanarek, który śpiewa o smacznych ziarnach. I w tym momencie włączyłem diamentryczny aparat! Co za wspaniały przeskok! Wszystkie żony zostały odciele od swoich wymęczonych mężów. Wszyscy mężowie odcięci od żon. „Wiedeński la-

sek” został wyrwany, a kanarkom pourywno lby. Cisza! Zupełnie niespodziewana przerażająca cisza. Pasażerowie

kałuże. Wejściowe drzwi zaszkrzętały: „Trzeba wycierać nogi!” Wtedy strzeliłem prosto w otwór zamkowy. Wbie-



wie siedzą oniemiała jak przestraszone owce!

— Wtedy pana aresztowano?

— Tak. Musiałem opuścić autobus. Ale przecież i tak zrobiłem swoje. Mężowie i żony nie wiedzieli co się stało. Myśleli, że to koniec świata. Ryk, hałas. Mityng, w malpian!

— Jeśli panu nie podobają się audycje radiowe, służbowe selektory, głosniki w autobusach — może pan wstąpić do towarzystwa zwalczającego radiofonizację.

— Próbowałem, ale to nie pomaga. Sam proces takiej walki trwa zbyt długo. Ostatnio postanowiłem zamordować mój dom. Naprawdę. Mój dom, to cud techniki: mówi, śpiewa, mruczy, przepowiada pogodę, recytuje wiersze, czyta głośno powieści, pobrzekuje, wyspiewuje kołysanki. W łazience po prostu ogłusza ariami operowymi, a w sypialni uczy hiszpańskiego. Jest strasznie gadatliwy. Łóżka kołyszą się do snu, a rano potraszają śpiących, by się obudzić. Ten dom nienawidzi ludzi! Wejściowe drzwi ryczą: „Ma pan zabłocone buty, sir!” Elektrołuk łączy człowieka po pokoju jak ples i tylko czeka, kiedy z papierosa spadnie trochę popiołu. O Boże!

— Niech się pan nie denerwuje — powiedział psychiatra.

— Całą noc liczyłem krzywy dy jakich doznałem, a rano kupiłem rewolwer. Idąc ulicą specjalnie wchodziłem w

głębokość kuchni, a tam słysząc: „Szybciej przewróć pieczęć na drugą stronę, bo się

przypali!” I strzeliłem w sam środek. Potem zastrzeliłem telewizor, to zwierzę przewrotne, tę meduzę, która swoim nieruchomym wzrokiem miliony ludzi przemienia w kamień, a jednocześnie daje tak mało... W tym momencie pojawiła się moja żona. Zaczęła krzyczeć, sprowadziła policję i tak oto znalazłem się w tym pomieszczeniu... Ale to dopiero początek. Wszyscy ludzie są zmęczeni hałasem. Bunt już się zaczął. Moje nazwisko wejdzie do historii. Warunki naszego życia są okropne. Jesteśmy bardzo nerwowym pokoleniem... Chciałbym teraz zostać sam. Mam zamiar tu pozostać pół roku, aby nasycić się samotnością i ciszą.

Psychiatra nacisnął niewidoczny guzik i drzwi się otworzyły. Zaowu szedł korytarzem. Przez pierwsze dwa dziesięć drzwi leciały za nim dźwięki „Chińskiego tamburynu”, potem fuga Becha, „Tiger rag time”, „Młodość jest jak papieros”. Wszedł do swojego gabinetu. Zadzwonił elektrycznym dzwonkiem i z sufitu ktoś powiedział:

— Doktor?

— Przed chwilą skończyłem wywiad z Brockiem — odparł psychiatra.

— Diagnoza?

— Pełna dezorientacja, ale on sam nie jest groźny. Nie zgadza się jedynie z otaczającą go rzeczywistością. Kiedy wychodziłem — zatykał sobie uszy nie istniejącymi tamponami...

Tłumaczył: ROMAN GORZELSKI

SPEKTAKLE tygodnia

Film			
POLONIA	„Święta wojna”, 25 seansów	13.733 widzów	65%
WISLA	„Matka kuracja”, 33 seanse	10.247 „	70%
Teatr			
NOWY	„Pan Geldhah”, 1 spektakle	1260 „	90%
	„Lato w Nohant”, 2 spektakle	1370 „	98%
MAŁA SALA	„Bliźniaki z Wenecji”, 3 spektakle	2085 „	95%
	„Drewniana miska”, 1 spektakl	200 „	100%
POWSZECHNY	„Jam session”, 1 spektakl	200 „	100%
	„Hiroshima”, 3 spektakle	588 „	98%
JARACZA	„Dom otwarty”, 3 spektakle	1976 „	96%
	„Dziady”, 3 spektakle	1729 „	86%
OPERA	„Ktoś nowy”, 1 spektakl	600 „	90%
	„Kolombowie rocznik 20”, 2 spektakle	1127 „	84%
OPERETKA	„Ostatnia stacja”, 2 spektakle	1323 „	98%
	„Fra diavolo”, 1 spektakl	900 „	90%
7.15	„Piękna Helena”, 7 spektakli	7503 „	98%
	„Szkoda wąsów”, 5 spektakli	2800 „	80%
FILHARMONIA	2 koncerty symfoniczne	970 słuchaczy	80%
ESTRADA	2 występy zespołu ang. „Animals”	16.000 widzów	95%

PRZECZYTAJ W TRAMWAJU* PRZECZYTAJ W POCIAGU* PRZECZYTAJ U DENTYSTY*



Lewym okiem

RZYMIANIE I DINOZAURY

W dziennikarstwie też — tak jak w literaturze — istnieje wiele gatunków i rodzajów twórczości. Ich badaniem zajmują się specjaliści od prasownictwa, definiują, analizują i klasyfikują. Jeden rodzaj jednak nie doczekał się chyba dotąd zainteresowania ze strony nauki, równego temu, jakie poświęca się felietonowi, informacjom, reportażowi. Mówię o miczalkach.

Czym jest ów uroczy i najchętniej cytowany przez wszystkich dział rubryczki, kącik w każdym, najsławniejszym nawet piśmie, które bez niego byłoby nudną pilą i niestrannym zakalcem nagiej prawdy? Owce rubryki: „Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe”, „Lecą świetliki”, „Czy wiecie, że...” i podobne?

Wiadomości, które znajdziecie pod tymi tytułami, nie są prawdziwe i surowy redaktor naczelny nie weryfikuje ich przed oddaniem do druku. Są to tylko niby-informacje, prawie-informacje, a nawet zwykłe plotki. Zerują na kredyty, jak ci czytelnicy — zwłaszcza mniej wyrobieni — skłonni są

przynawać słowu drukowanemu, podpierają się dla tym lepszej mistyfikacji nazwiskami, datami, nazwami miast i ulic. Służą tym samym celom, co krzyżówka z kociakiem, pełne dziewczęta na łamy „Odgłosy”, rysunki i zdjęcia, kącik szachowy i ankietę: „Czy warto być młodym?” (była taka przed paru laty, bardzo, bardzo poważna i pryncypialna, w „Kulturze”, ale w tej starej, która jeszcze nazywała się „Nowa”). Służą od niepamiętnych czasów, odkąd istnieje prasa, jej urozmaiceniu, zaspokojeniu głodu matych sensacyjek i ciekawostek. Niezniszczalny dziennikarski twór: miczalek.

Uśmiechamy się, znajdując miczalek w rocznikach gazet sprzed dziesiątków lat: jacyś ludzie wtedy byli natuwni! Wierzyli „Kurierowi Warszawskiemu” w 1835 roku, że francuski marynarz Gargales po trzydziestoletnim pobycie wśród dzikich plemion odżywia się kamyczkami, które jako chleb pożywa, a każdy może „przystąpić i w żołądku je namacać”. I wierzyli temuż „Kurierowi” w 1891, że w Korei na wierzchołku pewnego wzgórza leży kamień, od niepamiętnych czasów rozrzucony do czerności. I — jak podawał przed pół wiekiem „Tydzień” piotrkowski — że pewien profesor niemiecki spisał słownik języka pawianów, składający się wprawdzie tylko z kilkunastu słów: „profesor opanował ten język i czyni dalsze we władaniu nim postępy”.

Uśmiechaliśmy się i na sążniste wieści o węży morskim, i na odżywiający w martwych dziennikarskich sezonach rewelacje o yetim. Za parę lat uśmiechniemy się pewnie, czytając wdzięczne nau-

kowe rozprawki z prasy dzisiejszej o tym, że Rzym musiał zginać, bo ślani mieszkańcy malowano farbami, zawierającymi związki ołowiu. Po prostu obywateli rzymscy wymarli na ołowię i tylko przez niedopatrzenie ich kraj ucalał się nie wytłumił, przeciwnie — mieszkający jego nadal rozmnażają się bez trudności. Inaczej dinozaury. Nie stykały się z ołowiem, ale ponieważ na świecie nagle się ochłodziło — wymarli na zawał serca. Nie wiadomo dlaczego, ta sama temperatura nie zaszkodziła innym zwierzętom, ba — pomogła im nawet w ewolucji, wiadomo natomiast, że teorie zawałową głosi uczyony włoski paleontolog, Adriano Bencini. Kto ma ochotę, niech sprawdzi.

Uczony, który zamiast dinozaurów zająłby się naukowo miczalkami, mógłby wykreślić kilka powtarzających się w tym rodzaju kregów tematycznych. Krag medyczny: a to leczenie szpilek hemoroidów i astmy (akupunktura), a to stanie na głowie przed jedzeniem (ćwiczenia jogi), a to picie beczkami wody z kranu przy dowolnych dolegliwościach (metoda Kneippa).

Krag zgonów wielkich ludzi: Mieliszewicz otruty, uduszony, samobójca, zadżumiony. Napoleon tak samo. Grzybki cesarza Klaudiusza. Na co umarł Wódz Taki a Taki, skoro znaleziono go bez głowy...

Zresztą można nieskończenie. Nieskończenie jest bogactwo rzeczywistości. Nauka stara się je skatalogować i opisać. Kto napisze prolegomena miczalkologii?

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-78. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem: na „Odgłosy”. Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Zam. 3104. XI.69. N-3